

Nie będziesz
pisał, jak bić
dzieci

Polska – Izrael,
czyli serial
sponsorowany

Kobiety,
które nie boją się
pytań o wiek

Polskie
odrodzenie
dzielnicowe

**PRZE
KROJ**

Nr 16 (3485) / 16 KWIETNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

Demokracja wylosujemy wybór



INDEKS
371424

9 770033 248205

ISSN 0033-2488

16 >

AGADIR

PODRÓŻ, KTÓRA
PRZEPEŁNI CIĘ ŚWIATŁEM



www.agadir.travel

Agadir
W MAROKU



TRAVEL FOR REAL



**PRZE
KROJ**

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Elle

**NIE PUBLIKUJEMY
TEGO ZDJĘCIA...**



Kto jest na zdjęciu?
O tym nie piszemy obok

**LAST MINUTE
KRZYSZTOF PŁYTA**

Kto najgłośniej
protestuje przeciwko
likwidacji ulg
podatkowych dla
twórców? Krytycy.

W TYM TYGODNIU

NIE PISZEMY O TYM...

... że tata zaprowadził jedną z najlepszych tenisistek świata Agnieszkę Radwańską na Krakowskie Przedmieście na uroczystości związane z katastrofą smoleńską. Nie piszemy, ponieważ Agnieszka Radwańska miała zakrytą twarz. Wiedzieliśmy, że jest niebezpieczną przeciwniczką, ale dotąd sądziliśmy, że dla innych tenisistek.

... że fundacja braci Karnowskich odpadła z wyścigu po lokal miejski w Warszawie, pod pozorem niedostarczenia statutu fundacji. Zamach widać gołym okiem. Lokal jest po restauracji Menora na bliskim wszystkim środowiskom prawicowym placu Grzybowskim. A poza tym nadal w wyścigu bierze udział Krytyka Polityczna wyrzucana z Nowego Wspaniałego Świata.

... że ukazała się książka Martyny Ochnik – „Oszolomy”, powieść, której „akcja związana jest z katastrofą smoleńską”. Mamy wrażenie,

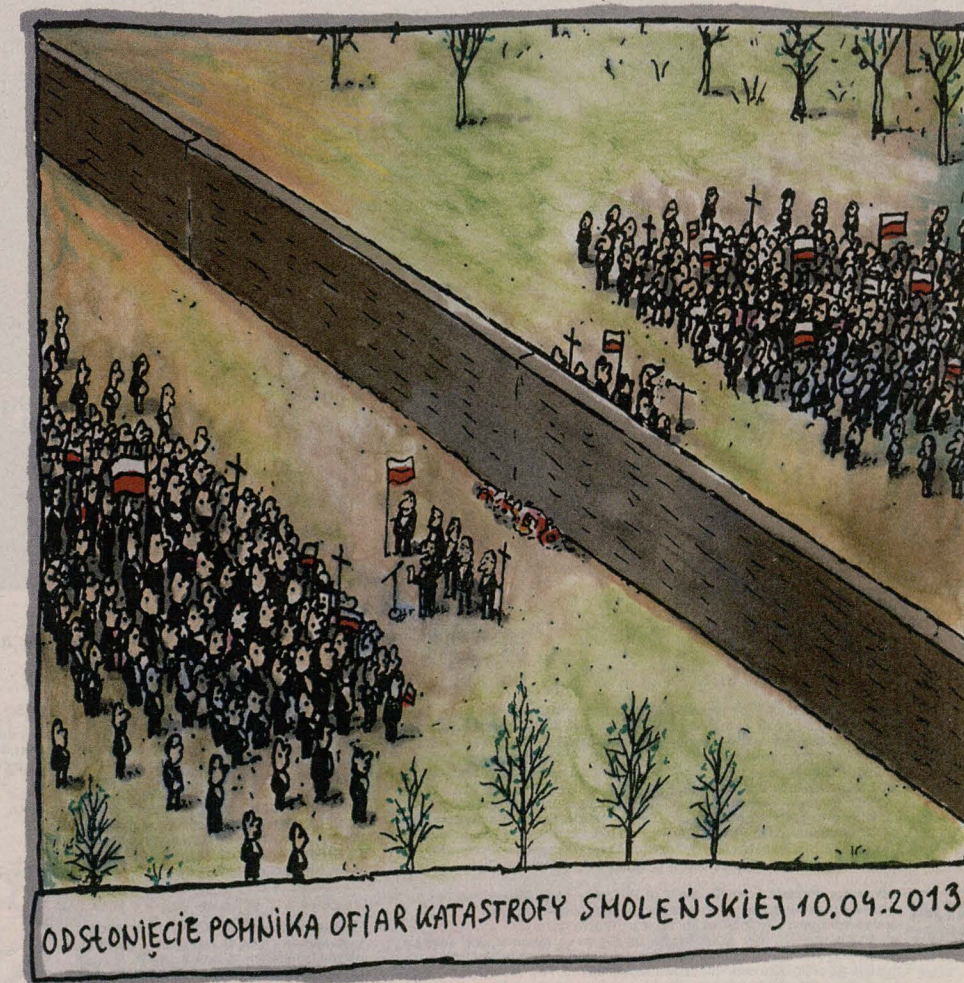
że to dzieło w wydaniu dźwiękowo-wizualnym jest emitowane nieprzerwanie dość powszechnie. Zawężanie go do tekstu jest zamachem na rozmach problemu.

... że Niemcy nie chcą jeździć swoimi kolejami szybciej niż 250 km/godz. Za chwilę odetną się od punktualności i czystości w wagonach. U nas nie do pomyślenia.

... policja nie była w stanie udowodnić kierowcy, który spowodował wypadek samochodowy koło Uniechówka w gminie Debrzno, że podczas jazdy się onanizował. I tylko dlatego skończyło się na mandacie 500 zł za spowodowanie kolizji – powiedział naczelnik człuchowskiej drogówki. Gdyby udowodniono masturbację – kula w łeb.

... że w pierwszą niedzielę maja będziemy obchodzić światowy dzień Paris Hilton. Bo to nie jest ta „kobieta pracująca”.

MAREK RACZKOWSKI



ODŚLONIECIE POMNIKA OFIAR KATASTROFY SMOLEŃSKIEJ 10.04.2013

MAREK RACZKOWSKI



RACZKOWSKI

UPRZEJMIE INFORMUJEMY

- 6 **W Białymstoku neofaszyści zrobili sobie wielkanocny rajd**, jedna osoba nie żyje, dwie są ranne. Kto powinien czuć się winny – zastanawia się Igor Strapko

PRZED WSZYSTKIM

- Zróbmy prawdziwą demokrację**
- 8 **NAJPIERW ZACNIJMY LOSOWAĆ**
Władza dba o nasze interesy, bo same(i) ją wybieramy. Czy ktoś w to jeszcze wierzy? I czy jest alternatywa niebędąca utopią? Tak, powinniśmy losować naszych reprezentantów – przekonują Piotr Laskowski i Sebastian Matuszewski
- 12 **POTEM NAUCZMY SIĘ ROZDZIAŁA NASZE PIENIĄDZE**
Dzielimy budżet i rządymy dzielnicą. W Trójmieście mieszkańcy sami mówią, na co chcą przeznaczyć pieniądze dzielnicy. Oto demokracja partycypacyjna – wyjaśnia Marcin Gerwin
- 14 **I JESZCZE OTWÓRZMY SIĘ NA WIEŁOŚĆ**
Europa jest egoistyczna, bo oczekuje, że imigranci przyjmą jej prawa i zrezygnują ze swoich. Dotyczy to także europejskiej lewicy – twierdzi Tom Hansen w rozmowie z Krzysztofem i Piotrem Pacewiczami
- 11 **Ostolski sprawdza Gowina**
- 17 **Robole z huty Batory zostali sami**. Nad sprawą matki Madzi nie gasną flesze. Przy dramacie kilkuset hutników z Chorzowa tych fleszy nawet nie włączono – relacja Dariusza Zalegi
- 18 **Czemu PO negocjuje ze skłotersami** – zastanawia się Krzysztof Pacewicz
- 19 **Wojnę o wiersz Güntera Grassa** komentuje Marcin Orliński
- 20 **Niepublikowane wystąpienie Marka Edelmanna** na rocznicę powstania w getcie warszawskim w 1950 r.
- 22 **Historia jako hucpa**. O zafałszowanej i prawdziwej historii Żydowskiego Związku Wojskowego z Dariuszem Libionką i Laurencem Weinbaumem rozmawia Katarzyna Czarnecka
- 25 **Grodzka podlicza ZUS**
- 26 **„Na dobre i na złe” w Izraelu**. Producenci do baśni o polskim szpitalu dołożą bajkę o Izraelu – twierdzi Przemysław Witkowski

- 28 **W Londynie wybory**. Z Kenem Livingstone'em, kandydatem na burmistrza, rozmawia Gavin Rae

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 30 **Pobijcie mnie mamo, tato** – zdają się prosić dzieci według autorów podręczników do „stosowania przymusu bezpośredniego”. Jakie skutki dla psychiki mają klapsy, wyjaśnia Zbigniew Modrzewski
- 34 **Winny, bo są twarde dowody, winna, bo świadek ją rozpoznał, winni, bo sami się przyznali**. Nic bardziej mylącego. Od 20 lat Projekt Niewinność ratuje życie niesłusznie skazanym, opierając się na odkryciach naukowych, które przybliżył Tomasz Borejza
- 37 **Psychologiczny Doktor Śmierć**. W USA nie wykonuje się wyroku śmierci na niepełnosprawnych intelektualnie. Niestety testy IQ bywają zawyżane przez psychologów – pisze Aleksandra Bilewicz

KONIEC Z KULTURĄ

- 38 **Nowa krytyczna pamięć**. Przemilczana pointa rodzinnych historii jest tematem „Festung Warschau” – pisze Żukowski
- 41 **Zebek Piątka pisze do kurii**
- 42 **Co ma do powiedzenia o piłce nożnej artysta**, który nie chodzi na mecze? Tomczuk przyjrzał się obrazom Adacha
- 44 **Czubaszek i Mazurówna mówią o sprawach, o których młodszy milczą**. Bunt starszych pań analizują Karaś i Witkowska

RECENZJE

- 46 **Książki**: Wielu będzie chciało zostać punkami po lekturze „The Clash – ostatnia załoga na mieście” – twierdzi Nizinkiewicz
- 47 **Książki**: Sendecki pyta, czy wypada, by Kafka okazywał się w listach poniekąd normalnym facetem
- 48 **Gry**: Szymczyk poleca „Podróż”

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 49 – 50 **Rozmaitości z krzyżówką** i Lewomysława Kurkiewicza
- 3,4, 49, 50 **Raczkowski**



Płać kartami w technologii MasterCard® PayPass™ i graj o podwójny bilet na mecz UEFA EURO 2012™!

Dać się ponieść piłkarskim emocjom: Bezcenne™

Szczegóły konkursu na www.paypass.pl
MasterCard – Narodowy Sponsor UEFA EURO 2012™



UEFA
EURO2012
POLAND-UKRAINE

MasterCard paypass™

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00, 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: doredakcji@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarnecka, Julia Kubisa, Magda Papuzińska, Jacek Tomczuk, Maria Świetlik ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk, Kaliber 45 PROJEKT GRAFICZNY: Kasper Skirgajło-Krajewski PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski FOTO-EDYCJA: foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Franciszek Mazur KOREKTA: Ling Brett OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska, Bartosz Wójcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszotek STRONA INTERNETOWA I PAD: serwisypłatne@rp.pl, Cezary Niewiarowski, Renata Wróbel

GREMI GRUPA

WYDAWCA: PRESSPUBLICA SP. Z O.O. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Milena Ostólska BIURO REKLAMY: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa; faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 463 0 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09 DYREKTOR DZIAŁU AGENCYJNEGO: Filip Weichert – 22 463 01 88 reklama@presspublica.pl druk: RR Donnelley.

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRENUMERATA REDAKCYJNA Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195 PRENUMERATA KOLPORTERSKA oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe PRENUMERATA E-WYDANIA www.egazety.pl PRENUMERATA ZAGRANICZNA Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPad i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian w nadesłanych artykułach i listach.



Okładka: Grzegorz Laszuk

Okładka poprzedniego numeru: Jan Bajtklik



FASZYŚCI MORDUJĄ W BIAŁYMSTOKU



Poza bezpośrednimi sprawcami ta śmierć obciąża także innych. Przede wszystkim tych, którzy w sporze o miejsce faszyzmu w debacie publicznej głoszą ideologię zdystansowanego, cynicznego „królestwa symetrii”. Po 11 listopada minionego roku, kiedy antyfaszyści w Warszawie zablokowali Marsz Niepodległości organizowany przez skrajną faszystowską prawicę (i którego uczestnicy zdemolowali stołeczny plac Konstytucji, staczając regularną bitwę z siłami porządkowymi), świat polskich mediów realizował strategię tego, co Artur Domosławski nazwał „królestwem symetrii”. W tekście „Faszystoidzi w królestwie symetrii” Domosławski przywołał wypowiedź Michała Kaufmana: „Gdy zaczynałem pracę w zawodzie, wielu moich kolegów dziennikarzy uważało, że jeśli policjant bije Afroamerykanina walczącego o prawa obywatelskie, to obiektywna prawda leży pośrodku, między bitym a bijącym. Od początku wydawało mi się, że to nonsens”.

Polscy „symetryści” nie dostrzegli w wydarzeniach z 11 listopada wzrostu fali neofaszyzmu, za to produkowali mity: o niemieckich lewackich ekstremistach, o ich pałkach i kastetach, o atakowaniu grup rekonstrukcyjnych, o pluciu na mundury, o sier-

W wielkanocną niedzielą noc grupa białostockich neofaszystów urządziła krwawy rajd po mieście. Wpadali do kilku lokali kojarzonych z kulturą alternatywną, wyciągali i bili osoby, które wyglądały „nieodpowiednio”, „lewacko”. Kilka osób zostało pobitych oraz odniosło rany kłute od noży. Śmiertelną ofiarą nocnej przemocy został 24-letni chłopak – pobity i zaatakowany nożami. Policja zatrzymała podejrzanych, którymi okazali się m.in. członkowie międzynarodowej faszystowskiej organizacji Blood and Honour. Białystok od lat, a szczególnie w ostatnich miesiącach, jest miejscem aktów radykalnej przemocy stosowanej przez bojówki neofaszystowskie. Równocześnie reakcja władz, w tym wymiaru sprawiedliwości, sprawia wrażenie, że lekceważą problem. Te wydarzenia i ich kontekst komentuje poniżej Igor Strapko.

pach i młotach. Słowa „faszyzm” używano do stygmatyzowania... antyfaszystów. Blokadę – instytucję obywatelskiego nieposłuszeństwa – mylono z totalitarnym gwałtem. Faszyzmem określano antyfaszyzm, a samego faszyzmu nie nazywano po imieniu.

Gdy media populistycznej prawicy grzmiały na temat lewackiego zagrożenia, kastetów i niemieckiej antyfaszy, media prawicy neoliberalnej – nawet te, których wozy transmisyjne niszczone podczas Marszu Niepodległości – reprodukowały informacje o starciu dwóch ekstremistów: lewackiego i... kibicowskiego. W relacjach z wypadków zwyk-

nie starczało miejsca, czasu i ochoty na wskazywanie politycznej afiliacji „kibiców”. W Warszawie starli się czerwoni ekstremiści i po prostu chuligani. Nabierający wiatru w żagle neofaszyzm nie doznał w tych dniach medialnego uszczerbku. Zakamuflowany jako „normalny patriotyzm normalnych ludzi” został dodatkowo wsparty przez tych, w których ponoć uderza.

W neoliberalnym raju, którym jest dzisiejsza Polska, takie rzeczy nie dzieją się bez powodów. Przemilczenie i przekłamanie liberalnych mediów mogą znaczyć, że strach klasy panującej przed faszyzmem nie jest tak wielki jak strach przed świadomym

siebie ludem, który może upomnieć się o godność. Godność zaś w świecie skonstruowanym przez dyktat pieniądza przekłada się na odmienny podział bogactw niż ten, który obowiązuje w czasach niepodzielnej władzy szefów i klientów mass mediów. Nazywanie faszyzmu po imieniu dyskredytuje faszyzm, dlatego faszyści nie są zainteresowani eksponowaniem własnego imienia. Liberalne media, jak widać, też nie mają w tym interesu.

Kaufman uznawał religię symetrii za nonsensowną. Historia wskazuje na faszyzm jako populistyczną odpowiedź na wznoszącą falę lewicowych nastrojów tak zwanej ulicy. Faszyzm jest objawem kryzysu kapitalizmu, z którym mamy do czynienia od dłuższego czasu. Faszyści – użyteczni idioci klasy panującej – jak i sama ta klasa cynicznie wykorzystująca swoich chłopców od bicia wspólnie dzisiaj udają, że faszyzm nie istnieje. Istnieją tylko dobrzy patrioci, niesforni kibice i grożąca kolejną Kołymą lewica o „militarystycznej twarzy”. Kto zatem zabił w świąteczną noc w Białymstoku? Mówmy głośno: zabili neofaszyści, przy współudziale tych, którzy ze strachu o stan swego posiadania udają, że ci pierwsi nie istnieją. **IGOR STRAPKO**

dzieci lubią chemię

Wzbudzanie zainteresowania chemią wśród najmłodszych to nasza przyszłość. Dlatego stworzyliśmy „Kids' Lab” w 15-tu krajach, gdzie młode pokolenie poprzez interaktywną zabawę poznaje tajniki chemii. Mali uczniowie i menzurki laboratoryjne nareszcie się dogadują? Dzięki BASF tworzy się chemia.

www.basf.com/chemistry



BASF
The Chemical Company



Władza dba o nasze interesy, bo same(i) ją wybieramy. Czy ktoś w to jeszcze wierzy? I czy jest alternatywa niebędąca utopią? Tak, powinniśmy losować naszych reprezentantów

PIOTR LASKOWSKI
SEBASTIAN MATUSZEWSKI

Władza tnie. Tnie szkoły, bronione przez uczniów, rodziców i nauczycieli – w tym roku chce ściąć ich nawet 800. Tnie szkolne stołówki – mimo protestów pracownic i rodziców. Tnie po kulturalnie – od licznych ośrodków lokalnych aż po Teatr Dramatyczny i Operę Kameralną w Warszawie. Tnie po naszej, publicznej własności, prywatyzując usługi niezbędne nam do życia i podnosząc ceny biletów miejskiej komunikacji. Tnie do żywego mięsa – reprivatyzując bez ustawy kamienice, dopuszczając do eksmisji i wstrzymując budownictwo komunalne. Władza tnie, bo uważa, że może – a może, bo jest demokratyczna. „Demokratyczna”, to znaczy wybrana w wyborach.

Gdy władzy przeszkadzają tworzące się ośrodki samoorganizacji i samorządności, czy to zaledwie funkcjonujące „obok” (czyli: poza władzą), czy otwarcie domagające się uwzględnienia swych postulatów, władza pracować zaczyna albo nad ich przejęciem, albo obłaskawieniem, albo, gdy to nie działa, fizyczną likwidacją. I tak: teatry odda się w zarząd menedżerom; Masa Krytyczna to dziś rowerowe przejażdżki w asyście radiowozów, a przeciwko skłotersom posyłane są zbrojne oddziały prewencji i ogłuszające LRAD-y. Władzy wolno to czynić, bo ma mandat wyborców.

Jak głosować, panie władzo?

Uderzający jest kontrast między „demokratyczną” władzą a uczestnikami kolejnych protestów przeciwko jej działaniom. – Rodzice sami się mobilizują, przychodzą na posiedzenia rady miasta i przedstawiają argumenty sto razy bardziej merytoryczne niż radni – mówi Ula, studentka prawa, wspierająca ruch walczący w Warszawie o utrzymanie stołówek

szkolnych. – Jest wśród nich tata prawnik, mama finansistka. Sami robią analizy i znajdują w projektach władz mnóstwo błędów, z których urzędnicy nie umieją się wytłumaczyć – dodaje. Radni nie są w stanie uzasadnić forsowanych zmian, opowiada Ula, potrafią tylko powtarzać: „Mamy dziurę w budżecie i musimy coś zrobić. Musimy ciąć stołówki, bo to najmniej wpłynie na edukację, a szkoła jest od tego, żeby uczyć”. Nie rozumieją, czym jest szkoła, panie pracujące w stołówkach, broniące nie tylko swoich miejsc pracy, ale dobrostanu dzieci i społecznego charakteru szkoły. Otóż szkoła uczy poprzez to, czym jest: różnica między anonimowo przygotowanym posiłkiem z opłaconego przez rodziców cateringu a jedzeniem przygotowanym przez realne

osoby, będące częścią szkolnej społeczności, jest właśnie nauką o tym, czym jest i jak funkcjonuje społeczeństwo.

Nic zatem dziwnego, że radnych nie cieszy aktywność rodziców i pracowników szkół. – Radni PO, która ma większość w stolicy, źle znoszą „cywili” na posiedzeniach rady dzielnicy – opowiada Ula. – Oni są władzą, bo mają mandat, który ich upoważnia do robienia tego, co chcą. Na posiedzenia ściągają pracowników urzędu, żeby rodzice nie zmieścili się na sali, przeprowadzają młodzieżówki, które mają okłaskiwać burmistrza. Ula zauważa, że dla radnych punktem odniesienia są stojący wyżej urzędnicy, a nie ludzie. – Radni miejscy wykonują polecenia z góry. Przed głosowaniem dzwonią do burmistrza i pytają, jak mają głosować

– a są przecież władzą ustawodawczą, to burmistrz powinien wykonywać ich decyzje – stwierdza Ula.

Nazywanie władz samorządowych „samorządem” jest kpina. Rady miast, gmin, powiatów przejęte są w większości wypadków przez zawodowych polityków partyjnych. Stanowią dla niżej postawionych działaczy okazję do pozyskiwania diet, dla liderów zaś etap w karierze politycznej.

Taki kształt władz wytwarza lokalną oligarchię, mikroklasę polityczną podlegającą także dyktatowi rynków i instytucji finansowych. Los mało skądinąd sympatycznego rządu Berlusconi czy rządu greckiego, determinacja polskiego premiera w podwyższeniu wieku emerytalnego – wszystko to ujawnia

fundamentalną prawdę: rządzić będą ci, którzy zaakceptują rynki. Wybory odgrywają w tym systemie podwójną rolę – pozwalają zachować zamknięty i zdyscyplinowany charakter oligarchii (na miejsce na liście trzeba zasłużyć), a zarazem pozwalają utrzymać tezę o demokratycznym charakterze reżimu.

Demokratyczne jest losowanie

Demokratycznym – czyli jakim? Takim – odpowiedzą nam ideologowie władzy (ba, nawet zapiszą to w szkolnych programach nauczania) – o którym pisali klasycy europejskiej tradycji demokratycznej, którego uczył nas Arystoteles, ujmował w formuły Monteskiusz, przenikliwie komentował Tocqueville. Tradycja demokratyczna, słyszymy, pozwala wybrać

najbardziej kompetentnych spośród nas i powierzać im zadanie decydowania w naszym imieniu. Czy jednak ideologowie zaglądają do starych ksiąg, o których lubią nas pouczać? Czytamy u Arystotelesa, że „za cechą demokratyczną uchodzi, że się urzędy obsadza przez losowanie, za oligarchiczną zaś, gdy się to dzieje przez wybór”. Monteskiusz dopowiada: „Wybór losem zgodny jest z naturą demokracji; wybór przez głosowanie – arystokracji. Losowanie jest to sposób wyboru, który nikogo nie uraża; zostawia każdemu obywatelowi godziwą nadzieję służenia ojczyźnie”. Nawet Tocqueville za fundament demokratycznych instytucji politycznych uważa losowo wybierane sądy (ławy przysięgłych) w Stanach Zjednoczonych, które służą mniej

Zróbmy prawdziwą demokrację

→ może rozsądzaniu sporów, a bardziej kształceniu społeczeństwa i wychowaniu go do życia w demokracji.

Jeśli chcemy mówić o demokracji, musimy odzyskać poczucie sprawczości – społeczną moc kształtowania warunków naszego życia. Coraz wyraźniej widać, że w ramach istniejących, wybieralnych instytucji żadne sprawstwo, a nawet podstawowa artykulacja własnych potrzeb, nie jest możliwe. Od placu Tahrir w Kairze, przez Puerta del Sol w Madrycie, ulice Tel Awiwu, po Nowy Jork brzmi głos odmowy wobec niewydolnej zasady reprezentacji.

Coraz częściej myślimy o powrocie do tego, co jest zapomnianym (lub ograniczonym do sądownictwa) fundamentem demokracji – do losowania. Utopia? Na tej zasadzie oparty był ustrój starożytnych Aten w czasach ich świetności, na niej zbudowano chwałę Rzeczypospolitej Weneckiej i renesansowej Florencji. Zaczniemy myśleć o powrocie do losowania – na początek władz lokalnych.

We Francji podjęto już pierwsze próby zastosowania tej idei. Zieloni w mieście Metz wylosowali kandydatów na swoje listy w wyborach samorządowych. Natomiast prawicowy think tank Fondapol zaproponował pośród „12 idei na 2012 r.”, żeby 10 proc. lokalnych rad pochodziło z losowania. Ta propozycja, choć świadczy o woli zmiany, ma jednak charakter pacyfikującego przejęcia idei losowania – 10 proc., które łatwo byłoby zdominować partyjnym graczom, nie załatwia sprawy. 10 proc. możemy ewentualnie pozostawić do obsadzenia w drodze wyborów.

W Kanadzie dwie prowincje (Brytyjska Kolumbia i Ontario) zdecydowały się na losowanie zgromadzeń obywatelskich do spraw reformy prawa wyborczego. Projekty przygotowane przez nie mają być poddane pod głosowanie w referendum. Istotnym elementem doświadczenia kanadyjskiego jest wbudowanie w system losowania zasady parytetu (losuje się po połowie spośród kobiet i mężczyzn) oraz zasady reprezentacji mniejszości (w Brytyjskiej Kolumbii chodzi o ludność autochtoniczną).

Z kolei w zeszłym miesiącu rada miejska australijskiego City of Canada Bay przekazała swój budżet na następne cztery lata w ręce ławy, która ma zostać wylosowana spośród mieszkańców i musi przedstawić raport w październiku. Burmistrz Canada Bay ogłosił tę

decyzję „początkiem nowej ery w demokracji”. „Dzięki ławie – mówił – rada miasta będzie lepiej wiedziała, jak wydawać wasze podatki i da nam jasną wskazówkę, na jakich sprawach powinniśmy się skupić” (o polskich przykładach stosowania budżetu partycypacyjnego piszemy na s. 12).

Odzyskać wpływ

W Polsce losowanie władz jest praktyką nieobecną w publicznych debatach, ale pojawia się w pojedynczych instytucjach, a także w ruchu Oburzonych. Ula, studentka zaangażowana w obronę stołówek szkolnych, jest absolwentką liceum, w którym zrezygnowano z tradycyjnych form reprezentacji na rzecz wiecu, w którym uczestniczą wszyscy uczniowie,

Kleroterion służył do losowania sędziów w starożytnych Atenach. W otwory wsuwano plakietki z nazwiskami kandydatów. Z tyłu urządzenia biegła rura, do której wkładano czarne i białe kostki. Wyjmowano je kolejno od dołu. Jeśli kostka była biała, właściciele pierwszych pięciu plakietek od góry zostawali sędziami. Jeśli czarna, kandydaci na sędziów wracali do domu.



EAST NEWS

wie, uczennice, rodzice i grono nauczycielskie. Osoby prowadzące wiec, a także członków i członkinie komisji zajmujących się różnymi aspektami życia szkoły, powołuje się w drodze losowania. Chodziło o to, by przeciwdziałać alienacji uczniowskich „działaczy”, umknąć logice CV (działam, bo mi się to potem opłaci), a przede wszystkim wciągnąć w życie społeczności także tych zbyt nieśmiałych lub zbyt skromnych, by sięgać po władzę i zacząć decydować o sprawach ogólnoszkolnych.

– Dopóki nie zostałam wylosowana – mówi Ula – nie interesowałam się tymi sprawami. Do głowy mi nie przyszło, żeby startować w wyborach, i dlatego nie miałam okazji się sprawdzić. Nie wiedziałam wcześniej, na czym polega sprawowanie urzędu. Dopiero gdy zostałam wylosowana i podjęłam się tej pracy, uświadomiłam sobie swoje umiejętności i zdolności. Jeśli chodzi o kompetencje, to uczyłam się od innych osób i łapałam nowe pomysły – opowiada. Michalina (dziś studentka MISH i działaczka Porozumienia Kobiet

8 Marca) dodaje: – Bycie wylosowaną jest łatwiejsze niż zgłoszenie swojej kandydatury. Dopiero po wylosowaniu zaczęłam się angażować i okazało się, że mogę to robić, chociaż wcześniej nie przyszło mi to do głowy. No a jak to odkryłam, to działałam dalej, bo przekonałam się, że mogę.

Losowanie władz publicznych pozwoliłoby odzyskać wpływ na życie wspólnoty ludziom nieprzemielonym przez partyjne tryby – oni właśnie mogą zmienić sposób patrzenia na wspólne sprawy, zmienić perspektywę kasty na perspektywę osobistą, artykułować potrzeby nieprezentowane, nieobecne, lekceważone. Losowanie dałoby szansę powrotu do kategorii dobra wspólnego i publicznej służby, uwalniając decyzje społeczne od garbu indywidualnych politycznych karier, warunkowanych posłuszeństwem wobec stojących wyżej działaczy i instytucji finansowych. Inaczej myślą i decydują ci, którzy z rządzących staną się wkrótce rządzonymi – radni uwolnieni z kokonu oligarchii politycznej mniej będą skłonni do arogancji. Losowanie przeciwdziała też procesom replikacji elit rządzących (elit, dodajmy, do których mało kto chciałby dziś aspirować, bo to jednak mocno żenujące towarzystwo), a zarazem rozpuszcza silne ośrodki władzy ulokowane w partyjnych kierownictwach. I wreszcie – losowanie przyniosłoby re-

alne upodmiotowienie coraz większej grupy ludzi spychanych teraz w niewolę, stłamszonej walką o przetrwanie prywatności.

Podstawowym argumentem, który blokuje dyskusję o losowaniu, jest przekonanie, że do wykonywania funkcji publicznych konieczne są specjalne kompetencje. Kto teraz tak właśnie myśli, niechaj idzie na najbliższe posiedzenie swojej rady miasta czy gminy, niech popatrzy i posłucha. Otwartość na innych, wrażliwość, troska więcej znaczą niż kompetencje, które realnie nabywa się dopiero w działaniu. Michalina zauważa: – Umiejętności ma mnóstwo ludzi, tylko większość o tym nie wie. Także ludzie, o których byśmy nie pomyśleli i którzy sami by nie pomyśleli, że potrafią rządzić. Na początku przydaje się wsparcie, ale te osoby świetnie sobie radzą, bo czują potrzebę zmobilizowania sił i sprostania roli. Wystarczy dać im – i sobie – szansę.

Piotr Laskowski jest historykiem idei
Sebastian Matuszewski jest nauczycielem filozofii

Chwałę Gowina



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu
jest socjologiem

Palikot znowu nas zaskoczył. „Gowin zachowuje się jak katolicka ciota” – tweetnął, komentując wypowiedź ministra o więzieniu CIA w Polsce. Minister uznał zbyt dogłębne wyjaśnianie tej sprawy za niepożądane. Wprawdzie Polacy są przywiązani do praw człowieka, stwierdził, ale tu może ucierpieć autorytet państwa i nasze bezpieczeństwo. Nie wiem, czy Palikot chciał zwrócić uwagę na słowa ministra, czy przeciwnie, chciał od nich uwagę odwrócić. Dalej dyskusja toczyła się już o słowie „ciota”. Tylko czy domniemana nienormatywna seksualność Gowina dyskredytuje go w roli ministra? I to bardziej niż jego deklaracje na temat śledztwa w sprawie więzień CIA? Palikot wydaje się tak sądzić, ale mniejsza z tym. Przyjrzyjmy się lepij temu, co powiedział Gowin.

Najpierw parę słów o jego resorcie. Ministerstwo Likwidacji Sprawiedliwości miało w poprzedniej kadencji aż trzech szefów. I są sukcesy. W kwietniu 2011 r. udało się zamknąć 74 wydziały pracy w małych miejscowościach, ograniczając możliwości dochodzenia sprawiedliwości w dziedzinie prawa pracy. Minister zadbał też o zmiany systemowe. Od tego roku sądy mają tylko dwa obowiązkowe wydziały – karny i cywilny. Pozostałych (rodzinny, pracy, gospodarczy) tworzyć nie muszą.

Będzie też mniej sądów. Minister Gowin pracowicie kontynuuje dzieło poprzedników: w grudniu podjął decyzję o likwidacji kilkudziesięciu sądów rejonowych w całej Polsce. Szczególnie barwny jest opisany przez Łukasza Jasinę na łamach „Kultury Liberalnej” przypadek Hrubieszowa – tam właśnie niedawno wybudowano nowy gmach sądu. Ktoś małostkowy mógłby pomyśleć, że to marnotrawstwo. Ale to tylko dowodzi, jak mało ludzie rozumieją z polityki PO. Każda złotówka włożona w zbudowanie siedziby sądu, który zaraz się zlikwiduje, to nie wydatek, lecz inwestycja. Na sprawach podstawowych, takich jak likwidacja sprawiedliwości, nasze państwo nie będzie przecież oszczędzać.

Ale Gowin to więcej niż kontynuator. To także filozof, intelektualista. Czy można w związku z tym mieć nadzieję, że wniesie zadanie likwidacji sprawiedliwości na zupełnie nowy poziom? Przyznam ze wstydem, że dotąd nie byłem o tym przekonany, ale wypowiedź w sprawie więzienia CIA rozwiła moje obawy. Gdy Gowin obejmował swój resort, komentatorzy mieli wątpliwości. Nowy minister nie jest prawnikiem, a na dodatek uchodzi za katolickiego fundamentalistę.

Brak prawniczego sznytu okazuje się atutem, choć wypowiedź w sprawie więzienia CIA na pierwszy rzut oka wydaje się potwierdzać obawy. Minister wspomina o „prawach człowieka”. Mówi mianowicie, że Polacy są do nich przywiązani. Możemy odetchnąć z ulgą: żadnej gadki o konstytucji czy prawie międzynarodowym. Tym, co zdaniem ministra utrudnia zamieszczenie sprawy tajnych więzień pod dywan, jest narodowy nawyk. Polacy bywali jednak przywiązani do różnych rzeczy. Do targania Żydów za pejsy, do umierania za ojczyznę, do bicia dzieci, do kolejek po pralkę, do bzykania bez ślubu. Niechby i do praw człowieka... Zmieniają się czasy, zmieniają się nawyki. Sam minister może i jakoś jest przywiązany do konstytucji czy praw człowieka, ale szczęśliwie nie traktuje ich do końca serio. W każdym razie nie w sytuacji, gdyby miały stać na drodze torturowaniu innowierców.

Ważniejsze od tego, co minister powiedział, jest jednak to, czego nie powiedział. Nie potwierdziły się obawy, że w pełnieniu urzędu miałyby mu przeszkadzać katolickie przekonania. Jeśli nawet je ma, to dobrze ukryte.

Strach pomyśleć, jak na informację, że w Polsce w tajnym więzieniu torturowano ludzi, zareagowałby ktoś, kto wierzy, że każdy człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga i że w związku z tym ma niezbywalną ludzką godność. Ktoś ukształtowany na Ewangelię, przejęty maksymami takimi jak „Prawda was wyzwoli” czy „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili”. Jeśli minister Gowin (czy, skoro już o tym mowa, grono prawicowych publicystów piszących w podobnym duchu) nawet jest troszeczkę katolikiem, to nie na tyle, żeby przeszkadzało mu to w przymykaniu oczu na torturowanie ludzi podejrzanych o terroryzm.

A skoro już przy tym jesteśmy, to przyjrzyjmy się tej kategorii: podejrzani o terroryzm. W języku angielskim o ludziach torturowanych przez pracowników amerykańskiego czy brytyjskiego wywiadu mówi się właśnie „terror suspects”. Ale nasi luminarze mówią po prostu „terroryści”, jakby bycie podejrzanym o terroryzm było równoznaczne z byciem terrorystą. Może chcą tylko zaoszczędzić parę sylab: „terrorysta” ma cztery sylaby, a „podejrzany o terroryzm” aż osiem? Ale mówiąc o więzieniach CIA, nie zapominają dodać „rzekome” lub „domniemane”, co oznacza za każdym razem trzy lub cztery zgłoski więcej.

Kto jest dziś podejrzany o terroryzm? Łatwiej powiedzieć, kto nie jest. To głównie obawa przed terroryzmem uzasadniała wprowadzenie w Europie przepisów o retencji danych telekomunikacyjnych. Operatorzy gromadzą, a służby przeglądają nasze dane, bo wszyscy jesteśmy troszeczkę podejrzewani. Nie na tyle, żeby nas torturować (tu trzeba spełnić dodatkowe warunki związane z wyznaniem, pochodzeniem etnicznym lub miejscem pobytu), ale wystarczająco, żeby nas hurtem inwigilować. No i dobrze. Jak likwidować sprawiedliwość, to konsekwentnie.

Biorą dzielnicę we własne ręce

W Trójmieście mieszkańcy sami mówią, na co chcą przeznaczyć pieniądze dzielnicy. Radni wykonują ich decyzje i są zadowoleni. Oto demokracja partycypacyjna



MARCIN GERWIN

W czwartkowe popołudnie pod koniec marca tego roku mieszkańcy Dolnego Wrzeszcza udali się do lokali do głosowania. Nie były to jednak wybory ani referendum. Mieszkańcy tej dzielnicy Gdańska mieli zadecydować, jak wydać blisko połowę pieniędzy z puli rady dzielnicy. Mieli do wyboru 11 szczegółowo opisanych projektów, takich jak remont placu zabaw, zakup książek do szkolnej biblioteki czy poprawa ścieżki rowerowej. Propozycje wydatków mogli zgłaszać sami mieszkańcy, a także instytucje publiczne, na przykład szkoły, które znajdują się na terenie Dolnego Wrzeszcza. Chociaż

zgłoszone projekty znacznie przewyższały kwotę, która była do podziału, czyli 50 tys. zł, rada Wrzeszcza postanowiła, że wynik głosowania będzie dla niej wiążący.

Poruszenie w dzielnicy

Taki sposób ustalania wydatków z budżetu miasta lub dzielnicy nazywa się budżetem obywatelskim lub partycypacyjnym. Dolny Wrzeszcz jest pierwszą dzielnicą Gdańska, która zdecydowała się go wprowadzić.

– Zależało nam, aby włączyć mieszkańców w decydowanie o Dolnym Wrzeszczu – mówi Ewa Lieder, przewodnicząca zarządu dzielnicy. – Te pieniądze należą do mieszkańców, więc mają prawo o nich decydować. Ludzie czasem

nie chcą uczestniczyć w zwykłych konsultacjach społecznych, bo nie mają poczucia, że ich głos ma znaczenie. W budżecie obywatelskim sprawa jest jasna – radni robią to, o czym zadecydują mieszkańcy.

W głosowaniu wzięło udział 219 osób, co jak na pierwszy raz jest zupełnie dobrym wynikiem.

Budżet obywatelski to sposób nie tylko na dzielenie pieniędzy, lecz również na aktywizację mieszkańców. – Spotykali się poza oficjalnymi zebraniem – opowiada Ewa Lieder. – O budżecie obywatelskim rozmawiano na radach rodziców, w przedszkolu zachęcano, by głosować na remont placu zabaw. W dzielnicy nastąpiło poruszenie, ludzie wzięli się

do roboty, napisali projekty. Skończyła się obojętność, a zaczął pozytywny ferment.

W budżet obywatelski w Dolnym Wrzeszczu zaangażowała się ponad połowa radnych dzielnicowych. – To dlatego, że przekonali się do idei – mówi Ewa Lieder. – Radni sami drukowali ulotki, przynieśli ciasto na spotkanie z mieszkańcami. To było integrujące także dla nas – zauważa.

Mieszkańcy mogli ocenić każdy ze zgłoszonych projektów w skali od 0 do 9, gdzie 0 oznaczało, że projekt jest niepotrzebny, a 9, że jest bardzo potrzebny. Kiedy głosy zostały podliczone, okazało się, że najwięcej punktów otrzymała propozycja rewitalizacji jednego ze skwerów z placem zabaw.

W ubiegłym roku wypróbowano budżet obywatelski także w czterech dzielnicach Łodzi, a jako pierwszy w Polsce wprowadził go Sopot. Mieszkańcy Sopotu zadecydowali w zeszłym roku o sposobie wydania ok. 5 mln zł, w głosowaniu oddano ponad 2 tys. ważnych głosów. Pod głosowanie zostały poddane zarówno projekty drobne, np. remont schodów w czterech rejonach Sopotu, jak i większe, o charakterze ogólnomiejscowym. Z tych ostatnich najwięcej głosów otrzymała propozycja zakupu dodatkowych pojemników na odpady do recyklingu, na drugim miejscu znalazło się dofinansowanie schroniska dla zwierząt.

Dzięki budżetowi obywatelskiemu mieszkańcy zyskują realny wpływ na sprawy swojej miejscowości. Od ich decyzji zależy, które inwestycje zostaną zrealizowane, a które nie. Mieszkańcy mogą poczuć się w pełni obywatelami, ich głos ma znaczenie. Decyzja mieszkańców jest wiążąca nie dlatego, że tak stanowi prawo, bo od strony formalnej są to konsultacje społeczne, lecz dlatego, że prezydent i radni deklarują, iż uszanują wolę mieszkańców.

Poznajmy się

Budżet obywatelski pozwala także na budowanie więzi między ludźmi, na to, by powstała prawdziwa lokalna społeczność. Aby mogło jednak tak się stać, potrzebna jest odpowiednia procedura przeprowadzania budżetu obywatelskiego, która zapewnia mieszkańcom możliwość spotkania się i rozmawiania o sprawach ich społeczności. W Sopocie rozpoczęły się przygotowania do drugiej edycji budżetu obywatelskiego i część propozycji ze strony mieszkańców dotyczy właśnie aspektu społecznego. – Chciałabym, żeby sopocianie i sopocianie czuli, że jest to nasza wspólna

sprawa – mówi Maja Grabkowska z Sopotkiej Inicjatywy Rozwojowej, nieformalnej grupy mieszkańców, która zaszczepiła budżet obywatelski w Sopocie. – Dlatego ważne jest, aby wszyscy zostali poinformowani o planowanych spotkaniach, zaproszenia powinny być rozesłane bezpośrednio do domowych skrzynek pocztowych. Trzeba również wprowadzić czytelne zasady budżetu obywatelskiego, gdyż w ubiegłym roku był z tym problem. Zależy mi, aby w drugą edycję zaangażowało się jeszcze więcej osób, a także by cały proces przebiegał bez zbędnego pośpiechu. To ma być święto sopocian i sopocianek, okazja do rozmów i dyskusji, ale też do tworzenia wspólnych projektów i nawiązywania nowych znajomości. Mniejsza nawet o kwotę, o której będziemy decydować – zapewnia.

Choć budżet obywatelski pojawił się w Polsce dopiero w kilku miastach, to jego upowszechnienie mogłoby mieć znaczący wpływ na po-

” W dzielnicy nastąpiło poruszenie, ludzie wzięli się do roboty, napisali projekty. Skończyła się obojętność, zaczął pozytywny ferment

EWA LIEDER

prawę jakości życia w miastach i w gminach wiejskich. Warto rozważyć, czy nie byłoby dobrym pomysłem zapisać w ustawie, że w każdej gminie co najmniej 5 lub 10 proc. wydatków musi być ustalanych przy bezpośrednim zaangażowaniu mieszkańców w budżet obywatelski. Dzięki temu mieszkańcy zaczęliby się bardziej interesować sprawami swoich miejscowości, mogliby się poczuć ich gospodarzami. Budżet obywatelski wprowadziło u siebie ponad tysiąc miast w Ameryce Południowej, Europie i Azji.

Dzieci chcą domek na drzewie

Oprócz ustalania wydatków z budżetu mieszkańcy mogą się włączać również w planowanie przestrzeni miasta. Służy do tego projektowanie partycypacyjne – mieszkańcy spotykają się z architektami i ze specjalistami z innych dziedzin, by rozmawiać o sposobie zagospodarowania placów, skwerów, parków, a nawet o projektach budynków. Przykładem projektowania partycypacyjnego jest Podleśna Polana

we Wrzeszczu Górnym. To duża łąka wraz z boiskiem, na skraju parku Jaśkowej Doliny. Rada tej dzielnicy Gdańska postanowiła, że o zagospodarowaniu tego miejsca zadecydują sami mieszkańcy, i przeznaczyła na ten cel kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Na początku roku odbyły się trzy spotkania z mieszkańcami w sprawie Podleśnej Polany. Na pierwszym z nich mieszkańcy dyskutowali o tym, jak chcieliby spędzać tam czas i komu ma to miejsce służyć. Z rozmowy wyszły główne potrzeby mieszkańców, związane z tym miejscem, a mianowicie ustawienie tam ławek i koszy na śmieci, chęć uprawiania tam sportu i urządzenie placu zabaw. Na drugim spotkaniu mieszkańcy rozmawiali już w grupach tematycznych z architektami, by sprecyzować swoje pomysły. W prace grupy, która zajmowała się placem zabaw, włączyły się także dzieci, które zgłaszały pomysły, jak urządzić ten plac. Od nich wyszła między innymi propozycja zbudowania domku na drzewie z liną do zjeżdżania oraz tunelu porośniętego pnączami. Na trzecim spotkaniu zgłoszone propozycje poddano pod głosowanie. Wszystkich pomysłów było ponad 40, karta do głosowania liczyła więc aż pięć stron, a wynik referendum stanowi wytyczne dla ostatecznego projektu.

Budowanie wzajemnego szacunku

– Projektowanie partycypacyjne jest okazją, by dowiedzieć się od mieszkańców, jak dana przestrzeń jest użytkowana, jakie są z nią problemy i jakie są potrzeby różnych grup użytkowników – mówi Agnieszka Jurecka, architektka z pracowni Zrównoważone Rozwiązania, która prowadziła spotkania w sprawie Podleśnej Polany. – Jest to wiedza w moim przekonaniu konieczna, by zaprojektować dobrze funkcjonujące miejsce, a którą projektanci nie zawsze mogą zdobyć podczas samotnych spacerów i obserwacji. Projektanci natomiast rewanżują się wiedzą na temat możliwych rozwiązań czy kosztów, pokazują i analizują przykłady z kraju i ze świata – wyjaśnia Jurecka.

Dzięki temu udało się stworzyć projekt, z którego jest zadowolona duża liczba mieszkańców. Zadowoleni są również radni dzielnicy, bo będą finansować coś, co będzie się mieszkańcom podobało. Mieszkańcy, którzy brali udział w projektowaniu partycypacyjnym czy w budżecie obywatelskim, nie mają już poczucia, że po raz kolejny coś zostało im narzucone odgórnie. I o to w demokracji chodzi. ●

Marcin Gerwin jest doktorem politologii, działaczem na rzecz zrównoważonego rozwoju

Egoistyczna Europa

Europejczycy nie chcą dostrzec, że u podstaw państwa opiekuńczego leży szczególna solidarność: pomagamy będącej w potrzebie starszej osobie czy samotnej matce, która wygląda mniej więcej tak jak my, a odtrącamy imigrantów. Dotyczy to także europejskiej lewicy – twierdzi duński antropolog **TOM HANSEN** w rozmowie z Krzysztofem i Piotrem Pacewiczami

problem – nie radzimy sobie z prawdziwymi różnicami! Dlatego Europa jako twór polityczny, a także jako zakorzeniony sposób myślenia jest coraz mniej dopasowana do tego, co dzieje się na świecie.

Widzę tu przewagę postkolonialnej demokracji w Indiach. Indie mają 27 oficjalnych języków, wiele ras i religii, czasami wybuchają konflikty, ale przeważa umiejętność życia razem. Nie w harmonii – nie chodzi o to, by się kochać, ale żeby rozumieć, że życie składa się z wielu poziomów: od intymnej sfery rodziny, przez wiele form społecznienia, aż po całą zbiorowość. W każdej z tych sfer musisz nauczyć się koegzystować, akceptując różnice. Odmienność w żaden sposób nie podważa więzi!

Tymczasem my wciąż żyjemy w przekonaniu, że obowiązuje europejska wizja idealnego społeczeństwa, idealnego obywatela, idealnego państwa. Na kilkaset lat zdominowała świat, ale ten czas minął. USA są bardziej otwarte, bo sama idea „zmiany” jest tam uważana za coś pozytywnego, a społeczeństwo jest też luźniej powiązane, co stanowi standardowy zarzut Europejczyków: „Amerykanie nie tworzą prawdziwego społeczeństwa”.

Wielu filozofów i socjologów uważa odwrotnie, że Europa jest otwarta na innego.

– Nie doceniamy, jak silny jest wpływ kultury kolonialnej. Mniej go widać w życiu intelektualnym, ale w polityce i „mądrości ludowej” króluje przekonanie o wyższości europejskiej cywilizacji. To m.in. wynik aksjomatu, że państwo narodowe jest najlepszą formą organizacji politycznej. Gdy tylko wybuchł kryzys, Unia Europejska cofnęła się do poziomu pojedynczych państw.

Kultura kolonialna jest obecna w podejściu do imigrantów. Europejczycy, szczególnie lewicowi, nie chcą dostrzec, że u podstaw „welfare state” leży szczególna solidarność: pomagamy będącej w potrzebie starszej osobie czy samotnej matce, która wygląda mniej więcej tak jak my. Solidarność nie musi obejmować czarnego muzułmanina. Ostatnia debata o opiece zdrowotnej w USA była także, w pokrętny sposób, dyskusją, czy pomagać imigrantom, czyli tym, którzy wyglądają inaczej niż my.

Lewica deklarowała zawsze coś innego.

– Z prawicą rzecz jest prosta: łatwo przestawia się z haseł antykomunistycznych na antyislamskie czy antyimigracyjne. Myślenie lewicowe jest uwikłane w normatywną koncepcję jednolitego obywatelstwa (unitary citizenship), wyraźną np. we Francji czy w Holandii. Opiera się na milczącym założeniu, że mogą zaufać innym, bo rozumieją te same kody kulturowe. Możemy pomagać naszym biedakom, trudniej

zachęcić ludzi, by płacili wyższe podatki na zasiłki dla patriarchalnej rodziny imigrantów z Pakistanu czy z Turcji, w których los kobiet czy dzieci jest według nas okrutny.

Lewica jest mniej sztywna niż prawica, ale nie potrafi zaakceptować, że jest inny niż nasz sposób bycia Niemcem i że jest wiele sposobów bycia Francuzem. Czy któregoś dnia zrewidujemy warunki, które stawiamy imigrantom? Może wystarczy, by przestrzegali prawa i płacili podatki? Może ich przyjąć do społeczeństwa i nie zmuszać do odgrywania rytuałów głębokiej integracji?

Debata na temat różnorodności jest dla lewicy sprawą życia i śmierci. Jeśli jej nie przeprowadzi, przegra – bo w tropieniu „czystości narodu” prawica jest o niebo lepsza.

Mer Londynu opowiadał kiedyś „Gazecie” o polityce zachęty dla Polaków, bo lepiej mieć imigrantów bliższych kulturowo.

– Paradoksalnie postkolonialna Wielka Brytania ma najlepsze podejście do imigracji. Dlaczego? Bo jest tak fundamentalnie podzielona przez klasy, że wszyscy się pogodzili z faktem, iż formy obywatelstwa są zróżnicowane. Mamy więc „dobre towarzystwo” (proper society) wyższej klasy średniej, aroganckiej i zamkniętej. I „podczepione” do nich klasy niższe. „Podczepianie” kolejnych grup imigrantów w żaden sposób nie zagraża całości. To dlatego Margaret Thatcher mówiła, że w Wielkiej Brytanii społeczeństwo nie istnieje. Faktycznie!

Im mocniejsza jest koncepcja obywatelstwa narodowego, państwa narodowego, społeczeństwa narodowego, tym trudniej przyjąć imigrantów.

Nieoczekiwanie niekorzystna może tu być ideologia równości czy praw człowieka.

– Kraje skandynawskie mają problemy z imigracją, bo opór stawia populistyczny feminizm – przecież ta wyzwolona kobieta jest zagrożona przez imigrantów, trzeba jej bronić przed ciemnoskórymi, nieucywilizowanymi mężczyznami! Z kolei w Holandii trzeba bronić przed homofobicznymi przybyszami geja – symbolu narodowego.

Europa nie wie, co zrobić z różnicami kulturowymi. Dlatego nie odegra już globalnej roli politycznej. Nie mówię tu o ekonomii. Niemcy dobrze sobie radzą, Polska też, bo żeby z kimś handlować, nie musimy go akceptować...

Mital z Indii różni się od nas, ale ma pieniądze.

– Czego chcieć więcej! LG to koreańska firma, z obcej kultury, ale tworzy miejsca pracy! Pieniądz to pieniądz.

Na czym miałyby polegać odnowa lewicy?

– Lewicowość się rozmywa. Populistyczna prawica w większości Europy jest właściwie →

Duńczyk, wykształcony w Wielkiej Brytanii, pracujący w Stanford, spec od kultury azjatyckiej, przede wszystkim Indii – z tej perspektywy zapowiada pan upadek Europy...

– My, Europejczycy, jesteśmy dumni ze społeczeństw obywatelskich, z naszej wspólnotowości, głębokich więzi społecznych, z demokratycznej kontroli nad instytucjami państwa, z naszych wartości. Ale mamy fundamentalny

→ socjaldemokratyczna. Brytyjska Partia Narodowa w kółko mówi o cierpiących emerytach, tyle że chodzi wyłącznie o cierpiących białych ludzi. Kolorowi mieliby wrócić do siebie. Podobnie u Le Pena – chodzi o cierpiących białych ludzi. Rzecz w tym, że w projekcie lewicowym też chodzi o cierpiących białych ludzi, bo tylko oni podzielają nasze demokratyczne wartości i styl życia! Lewica dołącza do chóru krytykującego multikulturalizm. Kiedy ktoś w końcu dostrzeże, że migracje się nigdy nie skończą? I że zważywszy na demografię Europy, trudno wyobrazić sobie naszą przyszłość bez nich? Żyjemy w historii, że zalewają nas imigranci, ale tak naprawdę jest ich niewiele – szczególnie w porównaniu z liczbą tych, którzy mogliby tu przybyć.

Takie otwarte podejście do imigrantów, musiałyby oznaczać zgodę na obyczaje i wartości, których nie akceptujemy.

– To cena, którą trzeba zapłacić. Trzeba przyjąć do wiadomości, że wspólnota oparta na wspólnych kodach kulturowych nie jest dobrym modelem obywatelstwa. Że grupy, które żyją obok nas, mówią w językach, których nie rozumiemy i mają zwyczaje, które nam się nie podobają!

Wielka Brytania jest tu znowu przykładem, bo kontrola nad koloniami zawsze była sprawowana tylko na najwyższym poziomie. Dlatego model wspólnoty, która część swoich spraw załatwia sama, nie budzi wielkich kontrowersji. Tacy imigranci nie są postrzegani jako zagrożenie dla wartości brytyjskich.

Nie uważam, że Europa powinna stać się pod każdym względem podobna do Wielkiej Brytanii, broń Boże! Ale wyzwanie polega na tym, żeby się otworzyć i powiedzieć: „Oczywiście, możecie wybudować meczet”. Bo jeśli ktoś chce zmniejszać różnice, będzie utrudniał imigrantom rozwój, to jedynie nasili antagonizmy i paradoksalnie utwardzi granice wspólnot.

Debatę o burkach na przykład jest po prostu niepoważna! Jak można tak arbitralnie zakazywać przybyzom właściwego im sposobu wyrażania się w przestrzeni publicznej? Gdyby spór dotyczył funkcjonariuszy państwowych, to bym zrozumiał, chociaż i tutaj nie miałbym nic przeciwko religijnym nakryciom głowy. W Indiach nie ma znaczenia, czy sędzia jest muzułmaninem, sikhem czy hinduistą – liczy się urząd, który sprawuje.

Burka jako symbol czegoś, co obraża naszą laicką republikańską wrażliwość? To czysta hipokryzja. Zakaz stoi w rażącym kontraście z faktem, że codzienne życie we Francji jest pełne chrześcijańskiej symboliki.

Czy mniejszości powinny mieć własne szkoły? Edukację uważamy przecież za narzędzie wyrównywania szans.

– W Holandii jest tradycja szkół katolickich i protestanckich, więc pojawienie się muzułmańskich nie stanowi problemu. Nawet w mojej Danii, która nie jest tolerancyjna, powstają szkoły muzułmańskie. Dopóki wszystkie placówki realizują podstawę programową, nie widzę problemu. Trudniejsze pytanie brzmi: czy nauczanie musi odbywać się w języku narodowym? Według mnie nie. Jeden język nie stanowi warunku narodowej spójności, w wielu państwach jest wiele języków urzędowych. To delikatny temat – w USA uznanie hiszpańskiego, którym wkrótce będzie mówić połowa ludności, za równoważny z angielskim wzbudza ogromne emocje. Ja staram się patrzeć na świat z perspektywy Bombaju – i kwestia spójności narodowej oraz językowej staje się mniej niepokojąca. Zresztą jeszcze nie tak dawno w Europie, szczególnie tu u was, np. we wschodniej Polsce, żeby dobrze funkcjonować, trzeba było porozumieć się w trzech czy czterech językach.

Ale jak daleko posunąć się w tej tolerancji? Pozwolić mniejszościom na własne prawo?

– Wiele państw po kolonializmie zostało z porządkiem prawnym, w którym obowiązują wspólny kodeks karny i konstytucja, ale reszta życia jest regulowana przez kodeksy prawa religijnego (Indie) lub kodeksy prawa zwyczajowego różnych grup etnicznych (RPA). W Indiach wielu lewicowców popiera pozostawienie tego kolonialnego dziedzictwa, ponieważ chroni ono mniejszości przed prawicową hinduistyczną większością. W RPA odwrotnie – lewica popiera ujednolicone prawo, żeby zjednoczyć państwo, a kodeksy prawa zwyczajowego uważa za przestarzałe, chociaż to zaczęła się zmieniać.

A jaki może być ich zasięg? Kastracja kobiet?

– Oczywiście musi być zakazana, bo gwałci podstawowe prawa kobiet zapisane w konstytucji. Muzułmanie w RPA domagali się pełnego przyzwolenia dla szariatu, ale sądy orzekły, że nie może to dotyczyć zapisów sprzecznych z fundamentami konstytucji i kodeksem karnym. Zakazane zostają więc kamienowanie kobiet za cudzołóstwo, odcinanie rąk złodziejom itp. Negocjacje są jeszcze w toku, ale wygląda na to, że muzułmanie w RPA będą mieli osobny system tzw. praw osobistych dotyczących spraw rodziny i dziedziczenia. To rozwiązanie znane z Indii od ponad wieku.

Europa może uczyć się tolerancji od Południa. Tym bardziej że to właśnie na Południu, w ogromnych i ciągle rozwijających się społecznościach, leży przyszłość.

A co z ideałem europejskiej tożsamości, który był naszą nadzieją? Bez narodowości łatwiej by nam było radzić sobie z różnicami?

– Nie wiem... Mogłaby pojawić się europejska duma, z gruntu wykluczająca. Tak czy inaczej ta nadzieja się załamała, trudno powiedzieć, czy za sprawą kryzysu ekonomicznego, czy w reakcji na przyłączenie państw Europy Wschodniej. Bo to był wielki wstrząs i wysiłek dla Europy, wciąż nieprzetrawiony.

Owszem, relacja między wspólnotą narodową a państwem zmienia się dzięki Unii Europejskiej, która stawia na większą integrację ekonomiczną. Młodzi ludzie przemieszczają się, dokąd zechcą, wykazując elastyczne podejście do przywiązania do swego narodu. W mojej generacji ludzie byli znacznie silniej kształtowani przez monojęzykowe, narodowe wspólnoty. Unia mogłaby zatem nas otworzyć, ale brakuje jej projektu, jak ta multikulturowa, pluralistyczna Europa miałaby wyglądać. Musiałoby w niej np. być miejsce i dla języka tureckiego, i arabskiego.

Demaskuje pan kulturę kolonialną, ale czy sam nie jeździ pan do Indii czy RPA jako intelektualny kolonizator, który wysysa z nich wiedzę i zamienia w swoje mądre książki?

– Oczywiście, należę do tradycji Bronisława Malinowskiego – białej mężczyzny jadącego na koniec świata, uczącego się języka tubylców i autorytatywnie opisującego ich życie. Na szczęście w Indiach nie da się odgrywać tej roli. Mają tam pewnie najlepiej, poza Europą i USA, rozwiniętą debatę intelektualną, poprzeczka wisi wysoko. Kiedy zaczynałem pracę w Indiach, spotykałem się często z niechęcią płynącą z indyjskiego nacjonalizmu lub z kolonialnych urazów. Lepiej zrozumiałem, jak oni patrzą na Europę. Staram się, by moje książki były wydawane także w lokalnych językach – zarówno w Indiach, jak i w RPA. Mają duże czytelnictwo, stają się częścią toczących się tam debat. Wywołują kontrowersje – mam pokaźne archiwum listów od wściekłych na mnie Hindusów, którzy kupili tanią wersję mej książki za 250 rupii.

A może jest pan konkwestatorem na opak, który chce zainfekować naszą dobrą starą Europę myśleniem azjatyckim?

– Teraz mnie zdemaskowaliście.



Thomas Blom Hansen jest duńskim antropologiem, wykształconym w Anglii i w USA. To badacz współczesnych Indii i RPA. Obecnie pracuje na Uniwersytecie w Stanford, gdzie jest m.in. szefem Centrum Badań Południowej Azji

Rozmowa została przeprowadzona podczas letniej szkoły New School of Social Research we Wrocławiu, współorganizowanej przez Dolnośląską Szkołę Wyższą. Autorzy dziękują za pomoc prof. Elżbiecie Matyni

Robole zostali sami

Nad sprawą matki Madzi nie gasną flesze. Przy dramacie kilkuset hutników z Chorzowych fleszy nawet nie włączono

DARIUSZ ZALEGA

Miało być tak pięknie. Firma jest w dobrej kondycji – poinformowała Karina Wściubiak-Hankó, prezes spółki Alchemia SA, w skład której wchodzi chorzowska huta Batory na spotkaniu 29 września 2011 r. w Urzędzie Miasta Chorzów. Dziennikarze pisali, że „tym samym rozwiązane zostały wątpliwości mieszkańców i związków zawodowych, które obawiały się redukcji etatów i zmniejszenia produkcji”. Zyski za tym przemawiały. W ubiegłym roku Alchemia, której większościami udziałowcem jest Roman Karkosik, zarobiła 118,4 mln zł. To ponad 700 proc. więcej niż rok wcześniej. Szybko rosła sprzedaż ruro na eksport – do Niemiec, Włoch, za ocean.

Nie było jednak pięknie. Latem 2011 r. kilkudziesięciu osobom nie przedłużono umów o pracę, a większość tych, którym kończyły się terminowe umowy o pracę, zaczęto zatrudniać za pośrednictwem agencji pracy tymczasowej. Tracili w ten sposób nawet jedną trzecią pensji, zarabiając po 1400 zł na rękę. Ludzie protestowali. Negocjacje związków zawodowych z dyrekcją przeciągały się w nieskończoność. I w końcu coś w ludziach pękło.

O godz. 6 rano w poniedziałek 2 kwietnia 250 pracowników walcowników i rurowni huty Batory rozpoczyna strajk – nielegalny, bez zachowania procedur, bo nie chcieli dłużej czekać na decyzje związków zawodowych w tej sprawie. „Jest to spontaniczny protest pracowników, którzy mieli już dość prowadzonych od kilku miesięcy negocjacji z zarządem huty Batory, które nie przyniosły żadnych rezultatów. Dlaczego? Ano dlatego, że właściciel »Pan« Karkosik działa zgodnie z prawem, tylko pytam: kto to prawo ustanowił?” – pisze Tomek na forum Chorzowianin.pl. Wtórzy mu Elektryk: „Wielki szacunek za to, że postawiliście się tym wyzyskiwaczom. Prawo jest od nich i do nich. My, robole, zostali sami”.

Robotnicy żądają odstąpienia od zwolnień grupowych, wycofania wypowiedzeń, przywrócenia układu zbiorowego pracy, likwidacji umów śmieciowych i wypłaty funduszu socjalnego z okazji świąt wielkanocnych. – Prezes do roboty za tysiąc złotych – krzyczeli w kierunku budynku dyrekcji. Jeden z protestujących wyjaśnia: – Dbamy o zakład, nam dobrze się tutaj pracuje. Zarząd jednak kompletnie o nas nie dba.

Głos z forum: „Gdzie Pan Prezes widzi oszczędność? Ona w mniemaniu Prezesa jest ogromna, ponieważ oszczędza poprzez zatrudnienie na śmieciowych umowach. To pozwala menedżerom zarabiać krocie – oszczędności na pracownikach”.

3 kwietnia pod hutę przychodzą ze wsparciem kibice Ruchu Chorzów – z których wielu jest także hutnikami. Z oświadczenia dyrekcji wynika, że to... próba upolitycznienia protestu.

Józef Spik, prezes zarządu huty Batory, tłumaczy: „Ponieważ strajk naraża spółkę na straty finansowe oraz wizerunkowe, ich organizatorom grożą prawne konsekwencje. (...) Informuję, że wdrażane przez hutę

Batory rozwiązania kadrowe są całkowicie zgodne z prawem i obejmują całą Grupę Kapitałową Alchemia”.

Wśród strajkujących rozchodzi się informacja, że przyjadą ochroniarze z Bydgoszczy, by złamać strajk. Ze wsparciem zjawiają się górnicy z Sierpnia 80, którzy trzy lata temu organizowali dramatyczny strajk w kopalni Budryk.

Na forach pojawia się hasło: „Wszyscy pod hutę”. Zdawałoby się – archaiczna walka klas przenosi się do Internetu. Trwają zażarte dyskusje – za strajkiem i przeciw niemu.

Władze miasta powołały sztab kryzysowy. W piątek 6 kwietnia na jego spotkaniu pojawił się prezes Spik, ogłaszając, że stalownia zostanie zlikwidowana i pracę straci około 150 osób. – Wyprosililiśmy go z sali. Jestem zbulwersowany jego postawą – stwierdził prezydent Chorzowa Andrzej Kotala (członek PO).

Przerwa świąteczna. Nie wiadomo, co będzie dalej. W poświęcony wtorek znów pikietuje 100 osób.

Ze 112 osobami, zatrudnionymi w stalowni huty, firma rozwiązuje umowy o pracę – za porozumieniem stron, więc bez odpraw. Dyrekcja jednak tryska optymizmem. – Mamy nadzieję, że położenie nacisku na zwiększenie sprzedaży przełoży się na poprawę efektywności ekonomicznej huty Batory – stwierdza prezes Karina Wściubiak-Hankó. Agencje pracy tymczasowej wciąż mogą liczyć na zyski kosztem hutników.

„Hutnicy zostali sami, żadnego zainteresowania ze strony mediów krajowych. Wtedy, gdy rozpoczęli strajk, było cicho, dzisiaj, gdy są wyrzuceni na bruk i nie wiedzą, co dalej, też nikogo to nie wzrusza. Nasze Kochane telewizje po co mają się interesować jakimiś tam »robolami« ze Śląska” – pisze ktoś na forum.

REKLAMA



Bądź światłem w mojej chorobie

1%

PROSIMY O TWÓJ 1% NA OPIEKĘ HOSPICYJNĄ DLA NASZYCH PACJENTÓW.

NR KRS 0000402663

Hospicjum Domowe

Archidiecezjalny Zespół Domowej Opieki Paliatywnej

www.hospicjumdomowe.com

Widmo skłotowej rewolucji

KRZYSZTOF PACEWICZ

Po nieudanej próbie odbicia skłotu Przychodnia w Warszawie władze miasta zaprosiły skłotersów na negocjacje. Wiceprezydent Paszyński oznajmił: „Jeśli skłotersi wyprowadzą się z Przychodni, to miasto może wynająć im inny lokal na cele kulturalne za przysłowiową złotówkę”. A jeszcze kilka dni wcześniej Gronkiewicz-Waltz proponowała im co najwyżej miejsca w noclegowniach dla bezdomnych. Dlaczego nagle władze zdecydowały się potraktować skłotersów poważnie?

Po pierwsze: media

Dobra, przychylne skłotersom artykuły w lewackim „Przekroju” i „Krytyce Politycznej” nikogo nie zdziwiły. Dobra, „Wyborczej”, a tym bardziej „Stołecznej” też zdarzało się wcześniej wspierać radykalne akcje z blokadą antyfaszystowską na czele. Ale żeby w praworządnej „Rzpie” takie opinie drukować: „Policja powinna wytłumaczyć się z tego, w jakim charakterze brała udział w likwidacji warszawskiego squatu. Obserwatorzy nie mają wątpliwości, że chroniła prywatnego właściciela, a nie broniła prawa”? Również Polsat, TVN i TVP okazały się raczej przychylne skłotersom.

Skąd u dziennikarzy tyle życzliwości? Powód prozaiczny: ostatnio stosunkowo niewiele się działo, a tutaj nagle grupa aktywnych ludzi robi zadymę, do tego w Warszawie. Można w pięć minut przyjechać z wozem satelitarnym i zrobić materiał. Co więcej, skłotersi zyskali sobie sympatię mediów przy okazji słynnego przejęcia Baru Prasowego w Warszawie.

I jakby tego było mało – w obronę Elby zaangażowały się znane osoby, m.in. Nowicka, Le-gierski, Biedroń.

Powód mniej prozaiczny: skłotersi są medialni – młodzi, kolorowi, elokwentni. Wbrew stereotypom są też dobrze wykształceni, często pochodzą z inteligentnych domów. Z jednej strony – radykalni, z drugiej – nie boją się współpracy z dziennikarzami, chętnie udzielają wywiadów, wystosowują oświadczenia, urządzają konferencje prasowe. Grupą 20 emerytów eksmitowaną z kamienicy w Rybniku nie zainteresowałby się pies ze szpotawą łapą, a co dopiero TVN.

Po drugie: siła

Ludowa mądrość głosi, że jeśli chcesz wpłynąć na polskie władze, to milion zebranych podpisów znaczy mniej niż tuzin spalonych opon. I coś, niestety, w tym jest. A skłotersi – anar-chiści – siły się nie boją. Oczywiście nie mówię o brutalnej przemocy, skłotersi to nie al Kaida, jak przytomnie zauważa Wojciech Tymowski. Ale też nie dają sobie w kaszę dmuchać – kiedy policja próbowała wywalić ich z Elby, w godzinę zmobilizowali 200 osób zdeterminowanych, by odzyskać budynek. I chociaż nie doszło do frontalnej wojny z policją, to właśnie liczba i nastawienie demonstrantów zmusiły właścicieli do negocjacji.

Prawdziwym pokazem siły był jednak marsz w obronę Elby, który odbył się w Warszawie tydzień później. Nawet organizatorzy byli zaskoczeni frekwencją – po ledwie pięciu dniach przygotowani, bez żadnego wsparcia medialnego i instytucjonalnego, udało się zebrać około

dwóch tysięcy osób z całej Polski. I choć dwa tysiące na naszym skromnym podwórku robi wrażenie, nie chodzi tutaj tylko o liczbę.

Po trzecie: widmo rewolucji

Każdy, kto był na demonstracji w obronę Elby, musiał przecierać oczy ze zdumienia. Wielka grupa młodych ludzi, w dużej mierze anarchistów, radykalnych, głoszących hasła otwarcie antyrządowe. Race, śpiewy, morze transparentów. Przez tych kilka godzin Warszawa przypominała bardziej Ateny czy Madryt niż stolicę zielonej wyspy. A kiedy trzy dni później skłotersom udało się obronić Przychodnię przed policją, wywiesili na niej gigantyczny transparent: „OCCUPY WARSAW”.

A jeśli jest coś, czego wszystkie światowe rządy boją się bardziej niż dziury budżetowej, to jest to właśnie krążące widmo Oburzonych. Ostatni rok pokazuje, że gdzie młodzi wychodzą na ulicę, tam rządy padają jak muchy.

Platforma tymczasem zdaje sobie sprawę, że przez ostatnich kilka miesięcy widowiskowo olała młodych wyborców i ich potrzeby, czego kulminacją była sprawa ACTA. W sondażu ze stycznia w grupie wiekowej 18–24 lata PO miała tylko 20 proc. poparcia przy 31 proc. dla Ruchu Palikota! A jeszcze trzy lata temu Platforma była postrzegana jako energiczna partia dla młodych ludzi.

Tak oto widmo rewolucji (dość jeszcze niewyraźne) zadrżało rządowym PR-owcom w oczu. I wtem któryś albo któraś z nich wpadł/wpadła na genialny pomysł: wykorzystajmy sprawę skłotów, żeby przed kamerami pokazać, że jesteśmy otwarci na młodych, energicznych i kolorowych ludzi! Pokażmy, że PO jest cool, że potrafi dogadać się z każdym, o ile jest odpowiednio „przedsiębiorczy”!

Racjonalna kalkulacja: oddanie skłotersom jednego czy nawet dwóch pustostanów jest zerowym kosztem, a pozwala upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu – zażegnać szansę masowych buntów anarchistów i zapunktować politycznie wśród młodych wyborców.

W okresie cięć budżetowych propozycji dla młodych nie ma i nie będzie, zresztą służalczą wobec interesów wielkiego biznesu i konserwatywna obyczajowo Platforma nigdy tak naprawdę ich nie miała. Dlatego jeśli platformersom nie uda się młodych jakoś udobruchać, ugłaskać, to za parę miesięcy polscy Oburzeni mogą wyjść na ulice i rozbić namioty.

Antysemita, faszysta, esesman – to tylko kilka dział wytoczonych przeciw Günterowi Grassowi, którego wiersz „Was gesagt werden muss” („Co musi zostać powiedziane”) ukazał się niedawno na łamach „Sueddeutsche Zeitung” (www.sueddeutsche.de/kultur/gedicht-zum-konflikt-zwischen-israel-und-iran-was-gesagt-werden-muss-1.1325809, wyborcza.pl/1,75477,11485050,Grass_wierszem_piетnuje_Izrael.html). Słynny pisarz krytykuje zachodnią politykę wobec Iranu. Sugeruje, że to nie Iran zagraża światowemu pokojowi, lecz Izrael, a Niemcy nie powinni go wspierać militarnie. Władze Izraela ogłosiły już, że autor ma zakaz wjazdu do kraju.

Zamierzam bronić Grassa. Nie tylko dlatego, że ataki na pisarza uważam za bezzasadne, ale także z tej przyczyny, że w ogóle warto walczyć o poezję we współczesnym świecie. Literatura to przestrzeń szczególna. To przestrzeń, w której najpełniej realizuje się wolność słowa. Wszyscy pamiętamy zresztą czasy, w których władza zamykała usta każdemu, kto ośmielił się zakwestionować ogólnie narzucony światopogląd. Nie twierdę jednocześnie, że pisarzowi wszystko wolno. Wolność nie oznacza bowiem dowolności. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym bronić literatury nawołującej do nienawiści na tle rasowym lub religijnym.

Dlatego wiersz Grassa przeczytałem z uwagą. Czy rzeczywiście można się w nim dopatrzeć treści antysemitki? Nie sądzę. Autor unika patosu i moralizatorstwa, a ograniczona liczba środków stylistycznych świadczy raczej o zdrowym rozsądku i dystansie. Utwór nie jest skierowany ani przeciw Żydom, ani przeciw ich państwu. Stanowi jedynie krytykę określonej polityki Izraela i jego sojuszników wobec Iranu. Chodzi o rzekome prawo krajów zachodnich do prewencyjnego ataku. Grass zauważa, że jego pań-

Wojna o wiersz



MARCIN ORLIŃSKI

Autor felietonu
jest poetą i krytykiem literackim

stwo wysłał do Izraela kolejną łódź podwodną z przyczyn ekonomicznych, nie zaś – jak woleliby niektórzy – z potrzeby zadośćuczynienia. Jednocześnie nawołuje rządy Izraela i Iranu, by zgodziły się na swobodną kontrolę swojego potencjału nuklearnego przez jakąś organizację międzynarodową. Tylko w ten sposób uda się utrzymać pokój w regionie.

W czym więc problem? Nie wiem. Być może wszyscy przyzwyczailiśmy się już do niepisanej zasady, że Państwa Izrael nie należy krytykować. Można mu jedynie przyklaskiwać.

Pewnie dlatego już w pierwszych słowach Grass ustosunkowuje się nie tylko do tematu, ale i do samego aktu wypowiedzi: „Dlatego milczę”. Pisarz zdaje sobie sprawę, że mówi rzeczy niewygodne, a przymus milczenia związany jest z jego pochodzeniem. No bo jak to? Niemiec, który za młodu został wcielony do Waffen-SS, nagle krytykuje państwo żydowskie? Nie do pomyślenia!

Dlaczego kwestia Państwa Izrael to wciąż temat tabu? Czy kilkadziesiąt lat po Holocaustie wciąż nie potrafimy rozmawiać o polityce w tym regionie z dystansem i należywym kry-

tycyzmem? Teza o zadośćuczynieniu nie jest bezpodstawną, jeśli wziąć pod uwagę trudną historię narodu żydowskiego, ale nie bez znaczenia pozostaje również aspekt ekonomiczny – Zachód chętnie interweniuje tam, gdzie zwiędzi interes. Stany Zjednoczone nie kwapią się do wprowadzania sił stabilizacyjnych na przykład w krajach afrykańskich, za to chętnie walczą o pokój tam, gdzie mogą zbić kapitał gospodarczy i polityczny.

Oczywiście można się z Grassem nie zgadzać. Iran to państwo totalitarne i niewiele wiadomo na temat jego programu nuklearnego. Teheran neguje Holocaust i kwestionuje prawo Izraela do istnienia. Wciąż słyszymy o krwawych zamieszkach i sposobach irańskiego rządu na rozprawienie się z opozycją. Sytuację zaognia fakt, że kraj ten jest wspierany przez Rosję. Sprawa nie jest więc prosta, a gra toczy się między innymi o wskaźniki na amerykańskich i rosyjskich giełdach. A jednak to nie irańscy żołnierze otaczają Izrael i Stany Zjednoczone. Jest dokładnie na odwrót. Amerykańskie bazy wojskowe rozrzucone są wzdłuż granic Iranu, m.in. w Arabii Saudyjskiej, Iraku, Turcji, Turkmenistanie, Afganistanie i Pakistanie. Kto bardziej powinien się czuć zagrożony?

Podoba mi się apel Grassa o zaprzestanie milczenia. Podoba mi się jego krytyczne stanowisko – nie wobec jakiegokolwiek narodu, lecz wobec rządów zachodnich krajów, które podtrzymują fałszywy obraz konfliktu. Podobają mi się wreszcie styl z pogranicza liryki i felietonu. Bez niepotrzebnego nadęcia, z jakim w Polsce pisano na przykład wiersze po katastrofie smoleńskiej. Bez wytaczania ciężkich, symbolicznych armat, które – owszem – potrafią narobić hałasu, ale najczęściej niewiele mają wspólnego z obiektywną oceną sytuacji. A jeśli ktoś się nie zgadza z Grassem, proszę bardzo, niech mu odpowie w równie racjonalny sposób.



Walczyliśmy o świat równości i bez rasizmu

„By powstało nowe, wolne życie, oni ginęli” – pisał w siódmą rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim Marek Edelman

19 kwietnia 1943 roku o godzinie drugiej w nocy nadeszły pierwsze meldunki od naszych czujek, że getto zostaje obstawione przez żandarmerię niemieckich i granatową policję. 15 minut później wszystkie grupy zajęły swoje stanowiska bojowe. Ludność cywilna została skierowana do uprzednio przygotowanych schronów i skrytek. Getto wymarło.

O siódmej rano wkroczyło zmotoryzowane wojsko niemieckie w pełnym szyku bojowym na tereny getta. Ale już u zbiegu ul. Miłej i Zamenhofa zamknęliśmy ich w kotle. Grupy nasze otworzyły koncentryczny ogień, odcięły odwrót. Czołgi niemieckie płonęły od naszych butelek zapalających. Ani jeden Niemiec nie wyszedł stąd żywy. Na rogu Nalewek i Gęsiej walki trwały przeszło siedem godzin. Ulica tonęła we krwi. Ambulanse niemieckie nie nadszły zbierać swych rannych. Samoloty kierowane przez niemiecki punkt obserwacyjny bombardują teren. Tym niemniej Niemcy zostają zmuszeni do wycofania się. Pierwszego dnia walk ŻOB odniosła pełne zwycięstwo.

O godzinie pierwszej po południu nie ma na terenie getta ani jednego Niemca.

Gdy następnego dnia Niemcy podeszli pod bramę terenu szczotkarzy, obserwator nasz włączył wtyczkę do kontaktu elektrycznego. Przeszło 100 SS-manów ginie od wybuchu dawno już czekającej na nich miny. Reszta wycofuje się. Gdy po kilku godzinach znów próbują dostać się na teren, giną prawie wszyscy od naszych granatów i butelek zapalających. Wtedy zdarzyła się rzecz zupełnie wyjątkowa. Trzech oficerów z opuszczonymi automatami i białymi kokardami zbliża się do nas. Chcą pertraktować z komendą terenu, proponując 15-minutowe zawieszenie broni. Zapewniamy wszystkim mieszkańcom spokojne przeniesienie wraz z całym dobytkiem do obozów pracy. Odpowiedzieliśmy strzałami. Nie ma pertraktacji z mordercami milionów bezbronnnych matek i dzieci.

Każde piętro zamieniamy w twierdzę, każde okno w strzelnicę. Niemcy zrezygnowali z bezpośredniego zdobycia terenu naszego. Miotałami ognia, z dużej odległości podpalili blok.

Jesteśmy wszyscy osmaleni ogniem, dym nas dusi, a mimo to grupy nasze trwają na swoich stanowiskach. Sytuacja zmienia się z sekundy na sekundę, za chwilę płomień zamknie nam odwrót. I wtedy to komendant terenu nakazuje odwrót. Przebijamy się do getta centralnego. Idziemy poprzez roztopiony asfalt, poprzez stopione od żaru szkło. Od żaru rozpalonego bruku tła się podeszwy, piekąc niemiłosiernie stopy. Z sykiem i trzaskiem wala się płonące belki. Przedzieramy się z domu do domu. Wreszcie wydostaliśmy się do przejścia i przez mały wyłom w murze obstawiony przez żandarmerię, Ukraińców i granatową policję przedarliśmy się na drugi teren walk do getta centralnego. Sytuacja wszędzie ta sama. Olbrzymie pożary zamykają całe ulice, tysiące ludzi giną w płomieniach. Ludzie ci, wypędzeni ogniem ze schronów, uciekają bezładnie, setki kończą życie, skacząc z trzeciego lub czwartego piętra. Matki w ten sposób ratują dzieci przed płomieniami.

Niemcy tymczasem palą przykładowo teren szczotkarzy i getto. Na innych terenach dają

pięć dni do dobrowolnego stawienia się, grożąc tymi samymi represjami, przed którymi nie ich w getcie centralnym, jak mówią, nie powstrzymało. I mimo przykładu nikt się nie zgłasza. Bojowcy wszędzie są na stanowiskach i gdy po kilku dniach Niemcy chcą przystąpić do pacyfikacji pozostałych szopów, wszędzie napotykają ten sam opór. Wienc znów walki, walki wręcz o każde piętro, a następnie pożar nowej dzielnicy.

Wobec tak zmienionych warunków organizacja bojowa zmienia taktykę. Stara się ochronić przed Niemcami większe skupienia pozostałej jeszcze przy życiu ludności. Nie ma już pomieszczeń, nie ma światła ani wody. Palenie getta dobiega końca. Bojowcy schodzą do schronów. Walki odbywają się teraz przeważnie w nocy. W zupełnej ciemności spotykają się nasze patrole z Niemcami. Wygrywa ten, kto pierwszy wystrzeli. Nasze siły maleją. Nie mamy dowozu amunicji. (...)

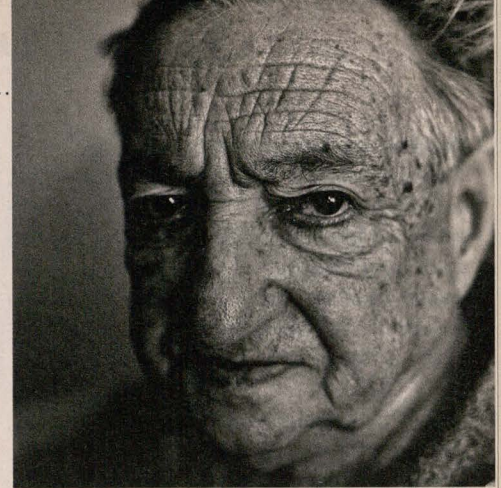
8 maja zostaje zaatakowana największa koncentracja naszych oddziałów. Walki trwają prawie cały dzień. Ginie w nich prawie cała

komenda. Pozostali, nieliczni, przy życiu, by nie wpaść w ręce niemieckie, popełniają samobójstwo.

Pozostali przy życiu bojowcy zostają (...) wyprowadzeni kanałami na aryjską stronę. Skąd samochodami zostają odwiezieni do lasów wiskowskich, by dalej prowadzić tę samą walkę, o te same ideały. Lecz w innych warunkach.

W powstaniu warszawskim w sierpniu 1944 roku walczy również, w szeregach AL, grupa bojowa Żydowskiej Organizacji Bojowej. Walczy o świat, w którym nie będzie istniało słowo „rasizm”, o świat, w którym niezależnie od wyznania, narodowości czy koloru skóry nikt nikogo nie będzie mordował, gdzie wszyscy będą sobie równi.

Gdy przechodzisz przechodni koło nowo budującej się kolonii Muranów, gdy mijasz zgłiszczą Starego Miasta, gdy jedziesz przez bezdroża lasów polskich, gdy widzisz w Białymstoku czy Częstochowie spalone dzielnice żydowskie, pamiętaj, że po to, by powstało nowe wolne życie, oni ginęli. Niech pamięć o nich trwa.



Fragment niepublikowanego dotąd tekstu przemówienia Marka Edelmana z 1950 r. pochodzi z antologii tekstów Edelmana „Prosto się mówi” przygotowanej przez Paulę Sawicką dla wydawnictwa Weltbild



Co wystarczy, żeby stworzyć mit?

Dariusz Libionka – Jakaś wiedza historyczna, to raz. Dwa – sytuacja, kiedy wiele osób zginęło i nie ma dużego ryzyka, że ktoś podważy daną opowieść.

Laurence Weinbaum – Hucpa, jednym słowem. I naiwna publiczność.

D.L. – Ja bym nie powiedział, że naiwna.

Właśnie. Przecież historie, które panowie dekonstruuja, uwiarygodniali i nadal podpierają autorytetami naukowcy.

D.L. – Tu jest poważny problem. Historyk musi być ostrożny. Nie może uznawać, że wszystko, co jest zapisane w źródle czy

oczekiwaniom. Taka nieodpowiedzialność nie zdarza się często. Ale w tym konkretnym przypadku tak się właśnie stało.

L.W. – Historia Żydowskiego Związku Wojskowego została zmanipulowana w pełnym znaczeniu tego słowa.

Zacznijmy od Izraela.

D.L. – Tam była rywalizacja o zasługi w tworzeniu konspiracji w getcie warszawskim i – co za tym idzie – w powstaniu. Znaczenie Żydowskiej Organizacji Bojowej podkreślał Israel Gutman, członek Ha-Shomer Ha-Cair, bojownik z getta. Rzecznikiem ŻZW był rewizjonista Chaim Lazar, który podczas okupacji dzia-

Jak czytamy w panów książce: „To on miał być ojcem założycielem, a zarazem filarem działalności żzw, dostarczać gettu broni, prowadzić wielopłaszczyznową i pełną niebezpieczeństw działalność na rzecz prześladowanych Żydów. (...) najbliższym przyjacielem komendanta żzw (którym miał być Moryc Apfelbaum), towarzyszącem jego walki i świadkiem jego śmierci na placu Muranowskim 27 kwietnia

1943 r. W tej »bitwie«, stracił miał dwóch synów i brata, a sam zostać ciężko ranny”...

D.W. – Tak, tyle że on w ogóle nie miał synów. A Apfelbauma – który doczekał się nawet skweru w Warszawie – wymyślił. W ogóle jego opowieści były raczej fantastyczne.

powstania. Iwański otrzymał Medal Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, dostał Virtuti Militari. Pierścień – domniemany znak rozpoznawczy jego grupy – spoczywa w gablocie w Yad Vashem. I w końcu już nikt, kto się stykał z tą historią, nie próbował się zastanowić, jak była budowana i co się na nią składa. A jej podstawy... Właściwie nie było żadnych podstaw.

L.W. – Wiara w nią była jednak potrzebna. Bo kiedy pojawiała się krytyka, że Armia Krajowa nie zrobiła niczego – czy niewiele – dla walczących, można było pokazać bohatera.

D.L. – A prawdziwe akcje solidarnościowe wykonywane przez Kierownictwo Dywersji Okrę-

bo to była taka gorzej uzbrojona zbieranina. A poza tym byli podejrzani jako lewica w przeciwieństwie do ŻZW, który był polsko-patriotyczny, czego wymownym symbolem stały się dwa sztandary – biało-niebieski i biało-czerwony – wywieszone w getcie.

Pojawienie się polskiej flagi było przedmiotem politycznych kontrowersji po aryjskiej stronie już podczas powstania...

D.L. – Konspiracyjny PPS-owski „Robotnik” pisał na przykład, że walka w getcie to ogniwo czteroletniego oporu całej Polski. Stronnictwo Demokratyczne w „Nowych Drogach” mówiło o zrównoważeniu „zdrady” Żydów w 1939 r.

Betar – Stowarzyszenie Młodzieży Żydowskiej im. Trumpeldora

Założona w 1923 r. skrajnie prawicowa organizacja, której przywódcą był syjonista rewizjonista Włodzimierz Żabotyński. Miała jeden cel: „Stworzenie typu Żyda, którego naród potrzebuje dla jak najsukceszniejszej i jak najrychlejszej odbudowy Państwa Żydowskiego”. Państwa – dodajmy – zbudowanego na zasadzie narodowej. W latach 30. i 40. inne organizacje żydowskie – zarówno syjonistyczne, jak i lewicowe – określały Betar mianem „brunatnego skrzydła syjonizmu”, potępiały za stosowanie przemocy i uznawały za sprzymierzeńca antysemitów. Betar, który w czasie apogeum swojej aktywności liczył 50 tys. osób, po wojnie przestał istnieć.

Żydowski Związek Wojskowy

Stworzona przez betarczyków organizacja bojowa, której historię postanowili zrekonstruować Libionka i Weinbaum. Jak piszą we wstępie do swojej książki, w wielu popularnych dziełach historycznych i literackich rolę żzw często z takich czy innych względów pomijano lub w najlepszym razie marginalizowano. Dlaczego? Z jednej strony pozostało niewiele świadków wydarzeń i skąpe dokumenty (co pozwoliło także na wiele przekłamań i manipulacji). Z drugiej, jak twierdzi np. historyk Roni Stauber, w Izraelu w latach 50. za bohaterów uważano przede wszystkim bojowników Ecel (Narodowa Organizacja Wojskowa walcząca w Palestynie z Brytyjczykami i Arabami), a nie bijących się w warszawskim getcie. Trzecią sprawą jest fakt wskazany przez Erana Kaplana, że badań nad rewizjonizmem do lat 70. prawie nie prowadzono, a jeśli już się ktoś tym zajmował, to jedynie członkowie tego ruchu, co w dużym stopniu wpłynęło na jakość tych działań. Zamieszanie wokół historii żzw trzeba rozpatrywać także w kontekście politycznym. Niektórzy historycy – m.in. Tom Segev – mówią o tym, że umniejszenie czy zupełne pominięcie roli betarczyków w powstaniu w getcie to zasługa ruchu lewicowego, przypisującego sobie wszelkie wojenne zasługi. Pod tym zdaniem podpisują się i polscy badacze, choćby Piotr Gontarczyk, który wraz z Robertem Kaczmarem zrealizowali w ubiegłym roku film „Betar”.

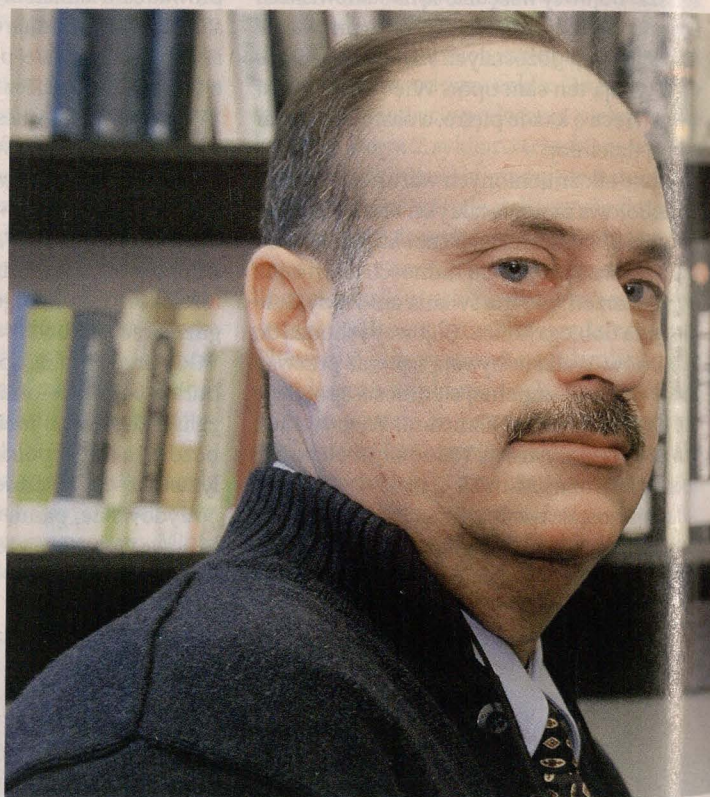
Henryk Iwański „Bystry” (1902–1978)

– zrobił błyskotliwą karierę, budując niemal całkowicie fikcyjną wojenną biografię, zakłamując jednocześnie historię żzw. Przedstawił się jako major Wojska Polskiego, żołnierz AK i członek Korpusu Bezpieczeństwa. Twierdził, że w 1939 r. zgłosiła się do niego grupa Żydów z propozycją utworzenia grupy bojowej – tak powstał żzw, którego działalność przez cały czas pilotował, szkoląc bojowców czy dostarczając im broń. Utrzymywał także, że podczas powstania w getcie dowodził 18-osobową grupą Polaków walczących ramię w ramię z żydowskimi bojownikami. Poza tym opowiadał o wszechstronnej pomocy, której przez całą okupację udzielał Żydom zarówno w dzielnicy zamkniętej, jak

Historia jako hucpa

Kłamstwa, fałszerstwa, manipulacje faktami od lat towarzyszą historii Żydowskiego Związku Wojskowego. Książka „Bohaterowie, hochsztaplerzy, opisywacze” urealnia legendę i obiektywizuje mit przeciwstawionej ŻOB prawicowej formacji.

Z jej autorami – **DARIUSZEM LIBIONKĄ i LAURENCEM WEINBAUMEM** – rozmawia Katarzyna Czarnecka



Laurence Weinbaum jest dyrektorem Israel Council on Foreign Relations, wykładowcą Ariel University Center of Samaria. Dariusz Libionka jest adiunktem w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, kierownikiem działu naukowego Państwowego Muzeum na Majdanku.

Jakub Ostrowski

co twierdzi świadek, jest prawdą, i wpisywać do bezkrytycznie do swojej narracji.

L.W. – Niedawno podczas wykładu student zapytał: „Jak to jest, że pan przedstawia taką wersję, kiedy moja babcia mi opowiadała, że było inaczej?”. Odpowiedziałem: „Mam zasadę: nigdy nie polemizuję z babcią”. Ale będąc historykiem, nie można zapominać, że różnica między wiedzą popularną a faktem bywa kolosalna.

D.L. – Niedopuszczalne jest także wpisywanie prac historycznych w kontekst polityczny. Wychodzenie naprzeciw określonym

łał w konspiracji i partyzantce w Wilnie. Obaj chcieli upamiętnienia swoich poległych towarzyszy, ale miało to też wymiar polityczny.

Lazar nie znał warszawskich realiów okupacyjnych, co miało niemałe znaczenie dla manipulacji historią żzw w Polsce. Jako jeden z pierwszych uwierzył w mit, od którego zaczęliśmy rozmowę: historię Iwańskiego.

L.W. – Cóż, Iwański był bez wątpienia znakomitym aktorem. Zasłużył na Oscara. Jestem wciąż pod wrażeniem tego, że tak długo nikt jego gry nie kwestionował.

D.L. – Niestety posłużyły do pokazania pewnej wizji. Ta organizacja miała być założona już w 1939 r. przez żydowskich patriotów i polskich oficerów. A w powstaniu w getcie miało się naprawdę sprawdzić braterstwo polsko-żydowskie.

L.W. – Taki wspinały przykład solidarności. D.L. – Nie było nawet jakiegoś planu politycznego stojącego za tą konstrukcją, która przybrała postać mitu. To się po prostu stało przez dziesięciolecia. Były publikowane teksty, nie tylko historyków. Ludzi z „drużyny pierścienia” pokazywano podczas rocznic

gu Warszawskiego czy przez komunistów jawiły się jako mniej spektakularne. Niestety.

Opowieści Iwańskiego, który prowadząc swoje gry, trafił nawet do zakładu psychiatrycznego w Tworzech – i nie tylko jego, hochsztaplerów było więcej – także teraz mają swoje konsekwencje.

D.L. – Ten mit funkcjonował świetnie w PRL i bardzo dobrze trzyma się współcześnie. Taka dziwna narracja pojawiła się w latach 90. Że taką prawdziwą organizacją bojową w getcie był ŻZW, a ŻOB nie miała większego znaczenia,

na Kresach okupowanych przez Sowieci. Prawicowy Miecz i Pług donosił zaś w „Nurcie Młodych”, że „podkreślanie patriotyzmu polskiego jest co najmniej śmieszne, jeśli nie cyniczne”. Trzeba tu przypomnieć, że syjoniści rewizjoniści w międzywojniu często eksponowali symbole polskie. To się nie wykluczało – polski patriotyzm i dążenia syjonistyczne. Ale w czasie wojny? Nie wiemy, jakie były poglądy polityczne twórców ŻZW, jak zapatrywali się na wiele kwestii dotyczących polskości czy czegośkolwiek innego. Nie wydawali prasy, nie wychodzi to także w powojennych relacjach. ➔

→ **Wielu wątków historii ŻZW nie udało się panom zrekonstruować. Co można – w największym skrócie – powiedzieć na pewno?**

D.L. – Na początku wojny wszystkie struktury Betaru zniknęły.

L.W. – Bo lider Menachem Begin i większość członków komendy ewakuowała się do Wilna i ruch został pozbawiony przywództwa.

D.L. – W 1940 r. zmarł Żabotyński, co pokrzyżowało działania dyplomatyczne. I nie był to ostatni pech rewizjonistów. W 1942 r. powołali do życia ŻZW. Ale konflikt ideologiczny z innymi partiami sprawił, że związek nie stał się częścią ŻOB i działał na własną rękę. Kolejny paradoks: logiczne byłoby, gdyby polska konspiracja chętniej stykała się z nimi, a nie z lewicą syjonistyczną. ŻZW udało się dotrzeć do jakichś struktur, ale te kontakty były nieformalne (tu pojawia się Janusz Ketling-Szemley „Arpad”, postać intrygująca, której motywy nie są do końca jasne) i nie przetrwały powstania.

Bojowcy ŻZW – choć ich liczbę trudno ustalić – oczywiście walczyli, głównie na placu Muranowskim. Ci, którzy przeżyli, wydostali się z getta wcześniej niż ŻOB-owcy, ale pozbawieni realnej pomocy w większości zginęli. A po wojnie, w imię takiej czy innej polityki historycznej, wypisywano ich z dziejów, nazywano faszystami. Zresztą w okresie przedwojennym też przez swoich przeciwników – zarówno w Palestynie, jak i Polsce – tak byli postrzegani.

Członkowie ŻOB się do tego przyczynili?

D.L. – Marek Edelman uważał, że ŻZW nie odegrał żadnej roli. Nie lubił pytań o te sprawy. Być może wynikało to z tego, że znał te wszystkie wypowiedzi produkowane w PRL i traktował je jednoznacznie. Ale stał się przykładem kontestacji. Inaczej Antek Cukierman. Dokonywał co prawda w pierwszych relacjach o powstaniu pewnych uproszczeń, ale później stwierdzał, że betarczycy mieli zasługi, że walczyli jak najbardziej.

L.W. – Tu zgodził się z Emanuelem Ringelblumem, który starał się walczyć o pamięć o ŻZW. Mówił: „Mimo że nam niesympatyczni, nie można ich w historii pominąć”.

Wygląda na to, że ostatecznie nie zostali pominięci. Wielu historyków się teraz nimi szczególnie interesuje.

D.L. – Tak, nie jesteśmy jedyni. I mam nadzieję, że nie napisaliśmy ostatniego słowa dotyczącego tej historii. Ale też chciałbym wierzyć, że to zainteresowanie nie jest związane z jakąś polityczną tezą.

Panów pracę trudno przyporządkować tezie. Ale są w Internecie komentarze. Na przykład taki: „[Książka] pokazuje, z jaką ostrożnością należy podchodzić do innych obowiązujących dzisiaj »niezaprzeczalnych« dogmatów tzw. Holocaustu, jak np. liczby ofiar żydowskich (»sześć milionów«), sposobu śmierci ofiar żydowskich (»Cyklon B«, »komory gazowe«), czy też »decyzji o ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej« (konferencja w Wannsee)”.

D.L. – To jest absurd. Ale żaden autor nie odpowiada za to, co ktoś na temat jego pracy wyłoży.

L.W. – Niestety są ludzie, którzy rzeczywiście negują całą historię zagłady. Ale dla mnie ta fałszywa opowieść, którą się zajęliśmy, jest pewną amunicją na nich. Trzeba pokazać, że jest deformacja w literaturze, i raz na zawsze ją obalić.

Czyli dekonstrukcja była podstawowym powodem, dla którego zaczęliście pisać „Hochsztaplerów...”?

D.L. – Tak. Uznaliśmy, że to wszystko zaszło za daleko. Później okazało się, że te kłamstwa oraz zniekształcenia stają się fascynujące i mogą być przyczynkiem do zastanowienia się nad pamięcią i amnezją. A kiedy ta część stawała się pełna, poczuliśmy potrzebę napisania, jak to rzeczywiście było. Myślę, że stworzyliśmy narrację obiektywną. Może zbyt nerwową, ale obiektywną.

L.W. – Trudno nam było uniknąć emocji, bo pokazywanie hochsztaplerki to był cios w samo serce – mieliśmy przecież do czynienia z kanoniczną wersją dziejów.

D.L. – Poza tym było to frustrujące. Choćby z powodu źródeł – nie dość, że są nieliczne, to jeszcze rozproszone, a te prawdziwe obudowane masą fałszyfikatów.

Jeśli można mówić o satysfakcji, to mamy ją z jednego powodu. Udało nam się nieco dokładniej niż naszym poprzednikom prześledzić losy tych, którzy rzeczywiście walczyli: Pawła Frenkla (21 marca na ul. Grzybowskiej odsłonięto tablicę jego pamięci – przyp. red.) i Leona (Lejba) Rodala – rzeczywistych przywódców ŻZW, ich kolegi „Rudego Pawła”, którego nazwiska nikt nie zapamiętał... Właściwie ta książka jest o cieniach. Bohaterach, którzy wciąż nam się wymykają. Im chcieliśmy oddać sprawiedliwość.



Dariusz Libionka, Laurence Weinbaum, „Bohaterowie, hochsztaplerzy, opisywacze. Wokół Żydowskiego Związku Wojskowego”, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, 634 s.

i po stronie aryjskiej. „[Walczyłem] dla idei, nie dla pieniędzy ani sławy. Dziś, jak się zdaje, mówię – dla ideału. A więc moim ideałem była walka Żydów. (...) Uważam, że [Żydzi] to są najlepsi ludzie na świecie” – mówił. Jego opowieść drobniawo rozpracowują Libionka i Weinbaum w pierwszej części „Bohaterów, hochsztaplerów, opisywaczy”.

Dawid Moryc Apfelbaum

Wymyślony przez Henryka Iwańskiego komentant ŻZW. Na pokrewieństwo z nim powołuje się Marian Apfelbaum, autor książki wydanej w Polsce pod tytułem „Dwa sztandary. Rzecz o powstaniu w getcie warszawskim”.

Drużyna pierścienia

Henryk Iwański twierdził, że on i Apfelbaum posiadali sygnety służące im do porozumiewania się. Wykonano je ze złota i onyksu, na którym wyrzeźbione zostały ośmioramienna gwiazda („siedmioramienna rzucalaby się w oczy”), cyfra 7, baran i lew. Tytułem „Drużyna pierścienia” opatrzył dziennikarz „Jerusalem Post” swój artykuł poświęcony grupie Iwańskiego, kiedy ów znak rozpoznawczy i jednocześnie talizman („Od chwili ich wprowadzenia na wiosnę 1942 r. nie mieliśmy ani jednej wpadki”) został przekazany do Yad Vashem.

Paweł Frenkel

Prawdziwy przywódca ŻZW, wcześniej prawdopodobnie członek Betaru. Okoliczności jego śmierci są niejasne. Jedna z wersji mówi, że został zabity w maju 1943 r. w kryjówce przy ul. Grzybowskiej.

„Paweł Besztynt” vel „Rudy Paweł”

Bojowiec ŻZW. Przed wojną być może działacz jednej z organizacji rewizjonistycznych. Autor datowanej na czerwiec 1943 r. relacji dotyczącej utworzenia ŻZW, walk organizacji w getcie i sytuacji jej członków po aryjskiej stronie. Zginął prawdopodobnie w powstaniu warszawskim.

Żydowska Organizacja Bojowa

Związek utworzony w lipcu 1942 r. w getcie przez członków m.in. lewicowego Bund (Powszechnego Żydowskiego Związku Robotniczego) oraz syjonistycznych Ha-Szomer Ha-Cair i Dror. Przywódcą ŻOB został Mordechaj Anielewicz (popelniał samobójstwo 8 maja 1943 r.).

Marek Edelman (1922–2009)

Współzałożyciel ŻOB z ramienia Bundu. Ostatni przywódca powstania w getcie, uczestnik powstania warszawskiego.

Icehak „Antek” Cukierman (1915–1981)

Członek ŻOB z ramienia Droru. Podczas powstania w getcie łącznik między ŻOB a AK. Uczestnik powstania warszawskiego.

Emanuel Ringelblum (1900–1944)

Historyk, pedagog, doktor filozofii. Twórca grupy Oneg Szabat zajmującej się od 1940 r. zbieraniem informacji na temat sytuacji Żydów w okupowanej Polsce, szczególnie w warszawskim getcie.

W 80 dni dookoła ZUS



ANNA GRODZKA

Autorka felietonu jest posłanką Ruchu Palikota

Było późne popołudnie. Zamknęłam biuro i wyszłam na ulicę. Mocno wiało, ale z przyjemnością odetchnęłam świeżym powietrzem. Kilka godzin pracowaliśmy z prawnikiem nad ustawą, która, gdyby miała szansę przejść przez Sejm, zlikwidowałaby znaczną część ludzkiej mitręgi w urzędach. Megafajna idea: zamiast zaświadczeń – oświadczenia. Zamiast urzędniczej podejrzliwości, kapitał zaufania społecznego. I obywatelska odpowiedzialność. Ale to była by rewolucja!

Rewolucję czuje już przez skórę prawnicy i urzędniczy establishment. Wstępne opinie o projekcie pracujących dla rządu prawników nie dają wiele nadziei. Więc poprawialiśmy. Projekt ustawy nie może być prosty. Dotyka wielu ustaw, kodeksów i wali w uświęcone tradycją urzędnicze zasady. Ech! Czy „Platforma Antyobywatelska”, która odsyła do kosza każdą myśl spoza rządu, tym razem pochyli się nad projektem?

Wsiadłam do autobusu. Moją uwagę zwrócił energiczny mężczyzna w średnim wieku z obandażowaną nogą. Mocno gestykulując, tłumaczył coś sąsiadce:

– Wygląda to tak: składa pani ten wniosek o przyznanie renty inwalidzkiej do swojego ZUS. Trzeba przedstawić wszystkie świadectwa pracy...

– Wszystkie?! – przerywa przerażona starsza kobieta.

– Tak. Niestety. I zaświadczenie od lekarza z opisem choroby i rokowaniami, no i całą dokumentację medyczną wraz z płytami i zdjęciami. Na rozpatrzenie wniosku ZUS ma 30 dni. Odczeka pani trochę, bo ZUS skwapliwie skorzysta z terminu, ale spokojnie – pismo przyjdzie. Wyznaczą termin. Pojawia się pani wtedy u lekarza orzecznika. Lekarz przegląda dokumentację, wypytuje, bada i bez czekania wypisuje pani orzeczenie. W moim przypadku to była całkowita niezdolność do pracy.

To wzbudziło moją podejrzliwość. Taki energiczny facet, zabandażowana nóżka...

Przyglądałam się bezczelnie. Lewa noga jest w większym bucie niż prawa. Starszą panią pewnie też poruszyło poczucie obywatelskiej odpowiedzialności, a może zwykła zazdrość, więc zapytała:

– A z jakiego to powodu ta niezdolność?

– Ech, to ten diabol nowotwór. Nieoperacyjny – dodaje. – Najpierw zaatakował sutek. Wie pani, jakie to draństwo? Tak, facetom też się przydarza. A teraz przerzucił się na kości. Kość w nodze to trzyma się na słowo honoru. Lekarze dziwią się, że jeszcze nie trzasła. No i ciągle puchnie stopa, sączy się krew i ropa. Robi mi się głupio za moje myśli, jestem wstrętny babsztyl.

– Ale ma pan już tę rentę? Dobrze rozumiem? – kobieta próbuje ratować sytuację.

– Eee tam! Potem jest 14 dni na odwołanie i uprawomocnienie się decyzji. Po tym terminie lekarz orzecznik ma siedem dni na odesłanie dokumentów do właściwej jednostki ZUS. A ta ma 31 dni na podjęcie decyzji. No ale dalej już tylko... – mężczyzna kontynuuje, patrząc na sąsiadkę, która wytrzeszcza oczy z zainteresowaniem – musi pani zgłosić się do Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie! Ma pani Internet? – oczy kobiety poszerzają się jeszcze bardziej, ale milczy. – To może sobie pani wejść na stronę, pobrać plik i wydrukować. Kto nie ma, musi udać się do „swojego” MOPR właściwego dla miejsca zameldowania.

– Ale ja mieszkam u córki, a zameldowana jestem...

– Nie można iść do MOPR w miejscu, w którym aktualnie pani mieszka, bo w każdym oddziale MOPR obowiązują inne druki. Teraz musi pani udać się do lekarza, który panią leczy, żeby wypełnił swoją część formularza, a pani wypełnia swoją. Odpowiada pani między innymi na pytania: po co potrzebna pani ta grupa inwalidzka. Czy chce pani się szkolić, zatrudnić, parkować w miejscach dla inwalidów, mieszkać w osobnym pokoju, pobierać zasiłek pielęgnacyjny, korzystać z innych ulg i uprawnień. I prawie załatwione.

Spojrzałam na starszą panią. Jej szeroko otwarte oczy już nie patrzyły na mężczyznę. Utkwione były gdzieś wyżej, w jakimś nieokreślonym miejscu.

– Prawie – kontynuuje mężczyzna. – Bo jest i wisienka na torcie – musi pani skserować całą dokumentację medyczną, orzeczenie lekarza ZUS o stopniu niepełnosprawności, dowód osobisty... Jeżeli zdobyła pani pieczętki, że kopie są zgodne z oryginałem, jest dobrze, jeżeli nie, to dźwiga się ze sobą również oryginały. A często jest tego na kilogramy. Powiatowy Zespół do spraw Orzekania o Niepełnosprawności ma teraz 30 dni na wyznaczenie terminu stawienia się przed ichniejszym lekarzem orzecznikiem... – milknie na chwilę.

– Drugi lekarz orzecznik w tej samej sprawie? – dziwię się głośno. Spoglądają oboje na mnie zaskoczeni, że nie byli sami w tej rozmowie.

– Taaak, ale to już ostatnia sprawa – zapewnia mężczyzna. – Mnie wszystko to zajęło 80 dni. Nagle uwagę całej naszej trójki zwraca nadchodzący zza moich pleców ochrypły głos: „Každy niepełnosprawny, jeśli jest Polak, patriota, to ma czas, by przemyśleć swoje postępowanie i zemrzeć w spokoju, zamiast domagać się jakichś bzdurnych przywilejów”.

Patrzemy wszyscy ze zdziwieniem na zarośniętego, chwiejącego się na nogach, nietrzeźwego mężczyznę. Jaś Himilbach?! – przeleciało mi idiotycznie przez głowę.

– No, co tak patrzycie?! Życie z moich podatków. No nie?! A jak się nie podoba w tym kraju, to proszę państwa bardzo... droga wolna. W podróż dookoła świata. No nie?! ●

Izrael na dobre i na złe

Za rządowe izraelskie pieniądze powstaną odcinki popularnego polskiego serialu. Producenci do baśni o polskim szpitalu dołożą bajkę o Izraelu

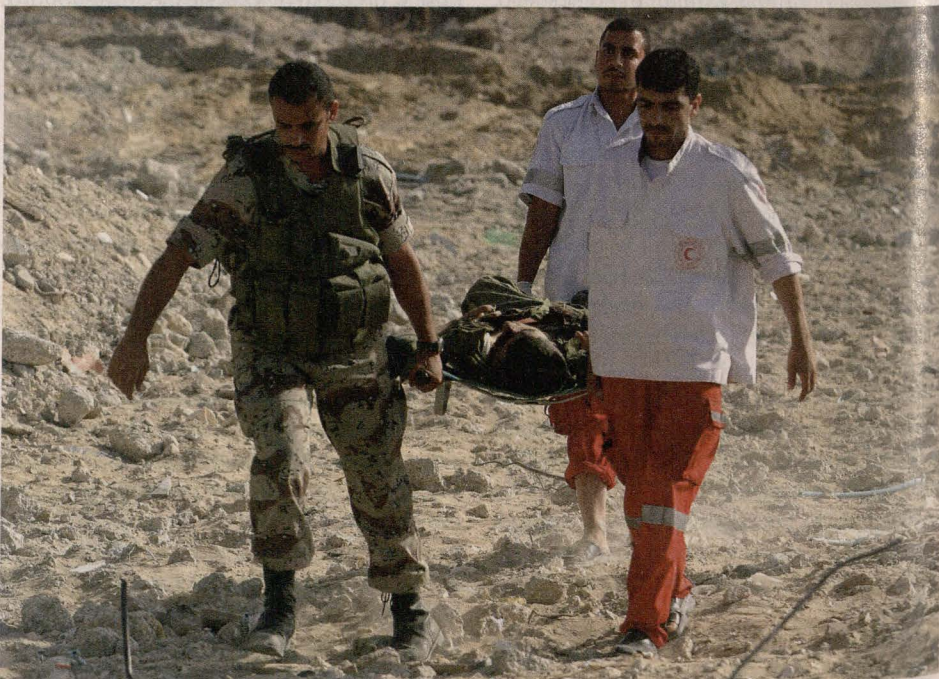
PRZEMYSŁAW WITKOWSKI

Kiedy Polska Akcja Humanitarna, ONZ i Unia Europejska potępiają działania sił okupacyjnych względem ludności palestyńskiej, a znani artyści z całego świata (m.in. Macy Grey, zespół Faithless, Ken Loach i Mike Leigh) ogłaszają bojkot tego kraju, polska telewizja postanawia wesprzeć polskiego sojusznika. Za pieniądze ze specjalnego funduszu rządu Izraela, mającego poprawiać wizerunek tego państwa za granicą, TVP nakręciła tam dwa odcinki swego popularnego serialu.

Propagandowe mydlenie oczu

Ekipa zjawiała się na miejscu na przełomie marca oraz kwietnia i filmowała między innymi na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie oraz w Hajfie i Akce – widzowie zobaczą ten materiał w dwóch wrześnieowych odcinkach. Jak informują media izraelskie, przedstawiciele wytwórni i jeden ze scenarzystów już w lutym udali się na miejsce, aby negocjować warunki korzystania z państwowych budynków. Polską ekipę na miejscu wspomagała lokalna firma producencka, a miejscowe Ministerstwo Spraw Zagranicznych i ambasada tego kraju w Polsce zapewniały konieczną pomoc.

Sprawę zauważyły już w Izraelu media głównego nurtu. Dostrzegli ją także izraelscy aktywiści działający przeciwko łamaniu praw Palestyńczyków. Wypowiedzieli się na ten temat działacze Izraelskiego Komitetu przeciwko Wyburzeniom (ICAHN), intelektualiści i artyści, między innymi antropolog Jeff Halper, były pilot wojskowego śmigłowca Yonatan Shapira czy piosenkarka Aya Korem. W e-mailach do twórców serialu pisano, że korzystanie z pomocy strony rządowej skutkuje nie tylko komercyjną korzyścią dla producenta, ale także zajęciem wyraźnego



proizraelskiego stanowiska w tym bliskowschodnim konflikcie.

Grupa działaczy i intelektualistów uważa, że decyzja o udziale w takiej koprodukcji powinna być oparta na wiedzy o lokalnej sytuacji politycznej. Zapraszają więc twórców serialu do spotkania z obrońcami praw człowieka i aktywistami. Nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla dyrektor ICAHD Izraelczyk Jeff Halper stwierdza, że „tego typu seriale kręcone w Izraelu wmawiają ludziom, że nie ma okupacji, wszystko wygląda normalnie, nie mówi się o pogwałceniach praw człowieka i aktów prawa międzynarodowego”. Zwraca się on do wszystkich osób zaangażowanych w tworzenie „Na dobre i na złe”: „Apeluję, abyście odpowiedzieli stronie izraelskiej: będziecie mile widziani jako partner i członek społeczności międzynarodowej, kiedy zakończycie okupację. Nie wcześniej”.

Także polscy aktywiści uważają, że współpraca ta ma wymiar polityczny, szczególnie na tle sugestii o podstawowym celu współpracy, jakim jest poprawa wizerunku Izraela w Polsce i na świecie. Ich zdaniem kultura popularna staje się w tym wypadku narzędziem tuszowania przemocy, odwracania uwagi od łamania praw człowieka i obywatela, okupacji Palestyny i polityki apartheidu względem nieżydowskich mieszkańców tych terenów. Dla Anety Jerskiej z Kampanii Solidarności z Palestyną „udział w tym projekcie i promocja kraju łamiącego nagminnie wszystkie rezolucje ONZ, konwencję genewską i inne akty prawa międzynarodowego jest aktem politycznym”. Jej zdaniem jest skandalem, że „polski serial o lekarzach będzie kręcony m.in. w Jaffie, gdy kilkanaście kilometrów dalej w Strefie Gazy władze tego samego kraju odmawiają ludności palestyńskiej dostępu do podstawowej opieki zdrowotnej”.

Od wybuchu drugiej intifady, pod koniec 2000 r., izraelskie wojska spowodowały śmierć 50 i zraniły ok. 500 ratowników medycznych (sanitariuszy, kierowców, lekarzy i wolontariuszy). W trakcie ataku na Strefę Gazy – operacji znanej pod nazwą „Płynny Ołów” – na przełomie lat 2008 i 2009 armia zabiła 16 i zraniła 57 palestyńskich ratowników medycznych w ciągu 22 dni. Zniszczono też dziewięć ambulansów, a siedem kolejnych zostało uszkodzonych. Liczne wojskowe punkty kontrolne oraz mur odgradzający Izrael od Palestyńskich Terytoriów Okupowanych często uniemożliwiają udzielenie na czas pomocy pacjentom. Od 2000 r. zarejestrowano 2423 takie przypadki, z których

129 skończyło się śmiercią chorych w wyniku braku odpowiedniej pomocy medycznej. Co więcej, 349 pacjentów zmarło, gdyż według palestyńskiego Ministerstwa Zdrowia odmówiono im prawa wyjazdu poza blokadę od pięciu lat Strefę Gazy.

Przyczyny czysto fabularne

Domagając się sankcji za łamanie przez Izrael prawa międzynarodowego, blokowanie Strefy Gazy, bezprawne aresztowania, stosowanie tortur czy użycie podczas operacji „Płynny Ołów” zabronionych przez konwencje międzynarodowe bomb z białym fosforem, za bojkotem kulturalnym tego kraju opowiedzieli się między innymi muzycy: Cassandra Wilson, Roger Waters, Elvis Costello, Macy Grey, Alice Walker, Devendra Banhart oraz zespół Faithless, filmowcy: Ken Loach, Mike Leigh, Claude Goretta i Alain Tanner czy aktorka Emma Thompson. Ze względu na atak Tel Awiwu na Strefę Gazy na przełomie lat 2008 i 2009 swoje koncerty w Izraelu odwołali Carlos Santana, The Klaxons, Lefffield i Gorillaz czy The Pixies. Do bojkotu dołączyło liczne grono artystów z Wielkiej Brytanii, Irlandii, ze Szwajcarii czy z Kanady. Roger Waters z Pink Floyd napisał w liście do organizatorów bojkotu: „Dla mnie osobiste wspieranie bojkotu jest wyrazem solidarności nie tylko z Palestyńczykami, ale również z tysiącami Izraelczyków, którzy nie zgadzają się z rasistowską i kolonialną polityką swojego rządu”.

Jak na to medialne zamieszanie reaguje strona polska? Wszystkie apele i protesty przeciwko współpracy z rządem Izraela umieszczone na stronie domowej serialu „Na dobre i na złe” oraz na jego facebookowym fanpage'u zostały usunięte przez administratorów. Do apeli i listów wysyłanych w akcji Kampanii Solidarności z Palestyną nikt z ekipy serialu w żaden sposób się nie ustosunkował. Odpowiedzi udzielono dopiero redakcji „Przekroju”. Firma Artrama uważa produkowane przez siebie seriale za apolityczne, a zaplanowaną kooperację nie uważa za zaangażowanie się w lokalny konflikt. Oświadcza, że wątek izraelski pojawił się z przyczyn czysto fabularnych – z powodu wprowadzenia do serialu nowej bohaterki, której ojciec musiał przezwyciężyć kontakty z krajem pod koniec lat 60. lub w latach 70. Zdaniem producenta współpraca ta nie odbiega od standardów przyjętych przy kręceniu tego typu produkcji.

Innego zdania jest dziesięciokrotnie nominowany do Złotej Palmy w Cannes Ken Loach, który zwraca się bezpośrednio do twórców

serialu: „Jako ktoś, kto tak jak wy pracuje w przemyśle filmowym, namawiam was do posłuchania Izraelczyków, którzy namawiają do zmiany waszego planu filmowania w Izraelu. Udzielcie wsparcia Palestyńczykom. Ich prześladowanie jest jedną z największych zbrodni, które pozostają niedostrzeżone i nieukarane. Proszę was – nie jedźcie”.

Miła bajka o Izraelu

„Na dobre i na złe” jest w gruncie rzeczy fantazją Polaka o rodzimej służbie zdrowia. Fikcyjna Leśna Góra to medyczny raj, w którym dobrze opłacani, zadowoleni z życia i kochający swój zawód lekarze z pasją oddają się pracy, nawiązując przy tym liczne romanse w schłodzonych i pełnych nowoczesnego sprzętu wnętrzach. Rzeczywistość serialu zdaje się być bajeczką ku pokrzepieniu serc stroskanych o swoje zdrowie polskich widzów.

Jak to wygląda z perspektywy Palestyńczyków? O ile bowiem standardy izraelskiej służby zdrowia można porównać do polskich, o tyle po przekroczeniu granicy Terytoriów Okupowanych sytuacja zmienia się diametralnie. Z jednej strony mamy więc wyburzenia domów, wysiedlenia ludności arabskiej, przemoc i konfiskaty ziemi, z drugiej zaś ciepłe plaże, nowoczesne szpitale i wspaniałe zabytki. Czy zobaczymy w „izraelskich” odcinkach serialu kraj, w którym 4,5 mln mieszkańców stanowi ludność drugiej kategorii, pilnowana jest przez uzbrojoną po zęby armię i oddzielona murem od swoich żydowskich współmieszkańców? Czy po prostu zobaczymy Izrael, w którym sympatyczni oddani pacjentom lekarze przy pomocy specjalistycznego sprzętu walczą o zdrowie swoich obywateli?

Popkultura przestaje być jednak odbierana w Polsce tylko jako zbiór kuriozów, komercyjnych produktów i tanich gagów, a coraz częściej rozpatrywana jest jako teren walki ideologicznej, gdzie ścierają się różne wizje świata i promowane są konkretne wartości oraz wzorce. W dużej jednak mierze jest to teren dominacji prawicy i centroprawicy. Takie kwestie jak aborcja, prawa mniejszości seksualnych czy redystrybucja przedstawiane są w popularnych produkcjach jako niesłuszna aberracja. Ksiądz w telenoweli zawsze będzie księdzem mądrym, cierpliwym i dobrym, gej najczęściej przegiętą i sfeminizowaną „ciotą”, a socjalista czy związkowiec po prostu „oszołomem”. Do tego zestawu „Na dobre i na złe” dołoży cegiełkę, wspomagając obraz Izraela jako „Ziemi Świętej” – krainy zabytków, żarliwej wiary i wspaniałego słońca, a nie wyzysku, przemocy i brutalnej okupacji.

W tym roku ponownie ubiega się pan o wybór na burmistrza Londynu. Mijają cztery lata, od kiedy Partia Konserwatywna przejęła władzę w mieście, a dwa, od kiedy współrządzi Wielką Brytanią. Jak ważne są te wybory? – Odbývają się w momencie, gdy ludzie borykają się ze skutkami najgłębszego kryzysu od lat 30. XX w. Sposób, w jaki zdominowany przez konserwatystów rząd i konserwatywny burmistrz odpowiadają na kryzys,

Cofnę redukcje wydatków na policję, aby lepiej zwalczać przestępczość. Będę też wraz z innymi zajmował się kwestią dramatycznego wzrostu czynszów, postaram się, by ludzie mniej płacili za energię, będę wspierał rodziny, których dzieci kontynuują naukę.

Od czasu rozszerzenia Unii Europejskiej do Londynu przybyło wielu imigrantów z Polski. Jak ocenia pan ich wkład w życie miasta?

się z tego, że w Londynie jest dziś duża i dobrze zakorzeniona polska społeczność. Jako burmistrz będę wspierał jej integrację w ramach naszej wielokulturowej tradycji, z której słuszenie możemy być dumni.

Przyjrzyjmy się konkretnym elementom polityki miejskiej. W całej Europie jest dziś problem z mieszkaniami, dużo się o tym mówi także w Polsce. Jak wygląda pod tym względem sytuacja w Londynie?

do płacenia „London Living Wage” wszystkim swoim pracownikom. To samo dotyczyło oczywiście wszystkich osób zatrudnionych przez miasto. Wysokość londyńskiej „living wage” oblicza się tak, aby umożliwiała godne życie przy uwzględnieniu wyższych kosztów w stolicy. Chcę wznowić tę kampanię, tak aby przyłączyło się do niej więcej firm i aby większa liczba londyńczyków mogła na tym skorzystać.

A jak jest w Londynie z ekologią?

– Poważnym problemem jest zanieczyszczenie powietrza. Za obecnego burmistrza Londyn nie spełnia nawet obowiązujących w Unii Europejskiej limitów zanieczyszczeń. Kiedy ja byłem burmistrzem, wprowadziłem w centrum strefę płatnego wjazdu, aby zachęcić ludzi do przesiadania się z samochodów do transportu publicznego. Pozwoliło to skutecznie zmniejszyć poziom zanieczyszczeń. Uważam, że potrzebne są dalsze kroki w tym kierunku, np. elektryfikacja autobusów.

Wspomniał pan o unijnych limitach zanieczyszczeń. Obecny rząd wydaje się zajmować coraz bardziej eurosceptyczne stanowisko, izolując coraz bardziej Wielką Brytanię w obrębie UE. Jaka jest pana opinia o miejscu Londynu w Wspólnocie europejskiej?

– Konserwatywny rząd prowadzi głupią i destrukcyjną politykę. Jak gdyby stracił z oczu fakt, że cały nasz dobrobyt ściśle zależy od tego, co dzieje się w reszcie świata, także w Unii Europejskiej. Londyn jest jednym z wielkich miast globalnych, jego pomysłowość zależy od zagranicznych inwestycji, turystyki, handlu, od studentów i pracowników ze świata. Rozwijając i pogłębiając te kontakty, możemy tylko skorzystać. Sam fakt, że granice wewnątrz Unii Europejskiej zostały otwarte, to dla Europy ogromny krok

Kto merem Londynu i dlaczego Livingstone

Z KENEM LIVINGSTONEM, politykiem brytyjskiej Partii Pracy, burmistrzem Londynu w latach 2000–2008 oraz kandydatem w majowych wyborach, rozmawia Gavin Rae

tylko pogarsza sprawę. Podnoszą różnego rodzaju opłaty oraz VAT. Pozwolili, aby dostawcy energii i firmy zarządzające nieruchomościami narzucały coraz wyższe opłaty w czasach, gdy wielu ludziom coraz trudniej związać koniec z końcem. Mówią, że wymusza to trudną sytuację finansów publicznych. Ale zdzieranie z ludzi wyższych opłat nie poprawia sytuacji budżetu państwa, ale pogarsza położenie większości ludzi.

Jednak jest alternatywa dla takiej polityki, zwykłym ludziom może się powodzić lepiej, a nie gorzej. Jeśli zostanie znów burmistrzem, pokażę, że to możliwe.

W Wielkiej Brytanii trwa głęboki kryzys, a obecny rząd skoncentrował się na cięciach.

Czy burmistrz Londynu może przeciwstawić się polityce zaciskania pasa?

– Burmistrz Londynu decyduje o transporcie i policji. Może wykorzystać swój urząd, aby we współpracy z innymi ludźmi rozwiązywać inne problemy. Jedną z moich wyborczych obietnic dotyczy kosztów transportu miejskiego: jeśli zostanę wybrany, do 7 października zostaną one obniżone, tak że przeciętny londyńczyk korzystający z transportu publicznego zaoszczędzi w ciągu czterech lat 1000 funtów.

– Przez całą historię Londyn zawdzięczał swoje sukcesy kolejnym falom imigracji. W każdym społeczeństwie obecność przybyszów oznacza wiele korzyści. Badania potwierdzają ich pozytywny wpływ na miejscową gospodarkę. Przynoszą ze sobą swoje talenty, energię i entuzjazm. Przynoszą też różnorodność.

W okolicy, gdzie mieszkam, wystarczy wyjść z domu i zrobić kilkuminutowy spacer, żeby trafić na jedzenie z całego świata, także na kuchnię polską. W Londynie każdy może czuć się u siebie.

Jako obywatele Unii Europejskiej Polacy mogą również wziąć udział w wyborach na burmistrza Londynu, które odbędą się 3 maja. Wystarczy zarejestrować się na stronie aboutmyvote.co.uk.

Czy pana program dla Londynu wpłynąłby na życie mieszkających tu Polaków inaczej niż polityka Borisa Johnsona?

– Jeśli wygram, będzie im się wiodło znacznie lepiej. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy miasta skorzystają z obniżki cen transportu publicznego. Zaoszczędzą setki funtów na czynszu i na rachunkach za energię. Jeśli ich dzieci kontynuują naukę, będą mogli starać się o ponad 1000 funtów rocznego dofinansowania do ich edukacji. Bardzo cieszę

– W Londynie daje się odczuć brak mieszkań, a czynsze rosną nawet podczas kryzysu. Zarówno konserwatywny rząd, jak i konserwatywny burmistrz Boris Johnson uważają, że to nie ich sprawa. Nie zgadzam się z tym. Jako burmistrz powołałam działającą non profit agencję wynajmu mieszkań, aby najemcy mogli trafić na dobrych wynajmujących, zaś firmy pośredniczące w wynajmie nie były ich kosztem. Będę działała na rzecz wprowadzenia „London Living Rent”, czynszu umożliwiającego godne życie, tak aby nikt nie musiał wydawać na czynsz więcej niż jedną trzecią swoich dochodów. Przyjrę się również temu, jak można budować więcej mieszkań w sensownej cenie, co przyniesie korzyści wszystkim. W końcu to właśnie brak dostępnych mieszkań sprawia, że wszyscy płacimy wyższe czynsze.

Dziś wiele rządów w Europie w ramach zaciskania pasa obniża płace. Jaka jest pana opinia na temat „living wage” – płacy umożliwiającej godne życie? Czy można wprowadzić taką regulację w Londynie i jak to zrobić?

– Wprowadziłem w Londynie to rozwiązanie, kiedy byłem burmistrzem. To był wielki sukces. Wiele przedsiębiorstw przyłączyło się do tego projektu, zobowiązując się

Gavin Rae jest socjologiem, wykłada w Akademii Leona Koźmińskiego



Pobijcie mnie mammo, tato

Pasem, kijem, nogą czy ręką zmuszamy innych ludzi do posłuszeństwa. Bo są mniejsi i nie mogą się bronić. Bicie dzieci to nasz sport narodowy, a w księgarniach znaleźć można podręczniki uczące technik przymusu

ZBIGNIEW MODRZEWSKI

Nie czekając na odpowiedź, pchnąłem go w kierunku korytarza i powiedziałem: »Idź natychmiast do swojego pokoju«. Przewrócił się, gdy go pchnąłem, ale wstał, ciągle płacząc, i pobiegł do swojego pokoju. Sięgnąłem po listewkę, którą używaliśmy do sprawiania lania – cała rodzina pomagała w jej ozdobieniu – i powiedziałem, by położył się na łóżku». To fragment jednego z kilku dostępnych na rynku „podręczników” przekonujących do stosowania przemocy wobec dzieci. Dla skuteczności tej „metody” pierwsze lanie powinien otrzymać już niemowlak. Na początek wystarczy mała różga.

„Następnie wymierzylem kilka silnych uderzeń” – czytamy dalej „Zadowolony z wyegzekwowania dyscypliny wstałem i pomyślałem: »To właśnie dostajesz za złamanie mojej zasady. Nikt nie ma prawa krzyczeć, gdy rozmawiam przez telefon. Nie chciałem, by ludzie myśleli, że moja rodzina wymknęła mi się spod kontroli«. Brzmi jak zwierzenia skruszonego sadysty, ale to fragment książki „Klucz do serca twojego dziecka” Gary’ego Smalleya. Trzeba przyznać autorowi, że gdy zorientował się, że syn miał jak najbardziej powody do krzyku, przeprosił go i nawet wspomniał o zaproszeniu go, żeby teraz to syn zbił jego tą samą listwą. Dziecko, jak łatwo się domyśleć, nie skorzystało z tej propozycji.

Klaps to też przemoc

Z okładki „Klucza...” uśmiecha się kilkuletnia dziewczynka, właśnie kończy rysunek szczęśliwej radosnej rodzinie. W czerwonym sercu napisała „Mama i Tata”. Instrukcje wychowania opartego na dyscyplinie i przemocy z pozorów wyglądają bardzo niewinnie, ich tytuły to „Mądra miłość”, „Dzieci i wychowanie”. Często też podpierają się dosłownie rozumianymi cytatami z Biblii („Wychowanie dziecka według Pisma Świętego”).

W listopadzie ubiegłego roku przeciwko „Mądrej miłości” wystąpił Jakub Śpiewak, pre-

zes fundacji Kidprotect.pl. Zadzwoił do wydawnictwa Vocatio z prośbą o dobrowolne wycofanie książki. Po zignorowaniu tej sugestii skierował zawiadomienie do prokuratury, która wszczęła dochodzenie.

W lutym tego roku wybuchła afera związana z inną pozycją tego samego wydawnictwa pt. „Jak trenować dziecko?”. Akcję usunięcia tego poradnika z dystrybucji rozpoczęła samotnie młoda polonistka z Gdańska Anna Golus. Jest autorką książki „Już bez bicia? Spór o klapsa” przedstawiającej historię przemocy fizycznej wobec dzieci w naszym kraju i stosunek Polaków do bicia dzieci.

– Podczas zbierania dokumentacji do książki dotarło do mnie, że większość osób w ogóle nie uważa bicia otwartą dłonią, czyli popularnego klapsa, za przemoc fizyczną – wspomina. Wtedy też odkryła, że istnieją poradniki, których autorzy zachęcają rodziców do „stosowania przymusu bezpośredniego” wobec dzieci. Jak podkreśla, nie było jej zamiarem niktogo atakować. Zwróciła się zatem bezpośrednio do wydawnictwa Vocatio z prośbą o wycofanie wspomnianej pozycji ze swojej oferty. Dopiero brak reakcji spowodował zgłoszenie sprawy rzecznikowi praw dziecka Markowi Michalakowi. Ten po lekturze i konsultacji z prawnikami zgłosił sprawę do prokuratury.

Obie książki zostały wycofane ze sprzedaży. Jak informuje na swojej stronie wydawca: „Czuję się zmuszony do wycofania z obiegu wspomnianych książek. (...) Mam nadzieję, że powstanie ruch społeczny na rzecz zmiany zapisów w ustawie z dnia 1 sierpnia 2010 r. tak, by potrafiła ona w mądry sposób chronić rodziny przed rzeczywistymi patologiami, a jednocześnie wspomagać zdrowe, kochające się rodziny, które chcą budować swoje relacje na biblijnych zasadach pełnych miłości, oddania i zdyscyplinowania, i które chcą nauczać swoje dzieci samokontroli oraz samodyscypliny. Zachęcam też wszystkich ludzi ufających Bogu, by w swoich modlitwach zanosili tę sprawę przed tron Najwyższego, gdyż losy naszego narodu zależą także od tego, jak będą

wychowywane nasze dzieci”. „Nasz naród” – jak pokazały badania przeprowadzone w 2011 r., czyli rok po wprowadzeniu ustawy zakazującej stosowania przemocy wobec dzieci – niemal w 70 proc. uznaje przemoc fizyczną za dopuszczalny środek wychowawczy.

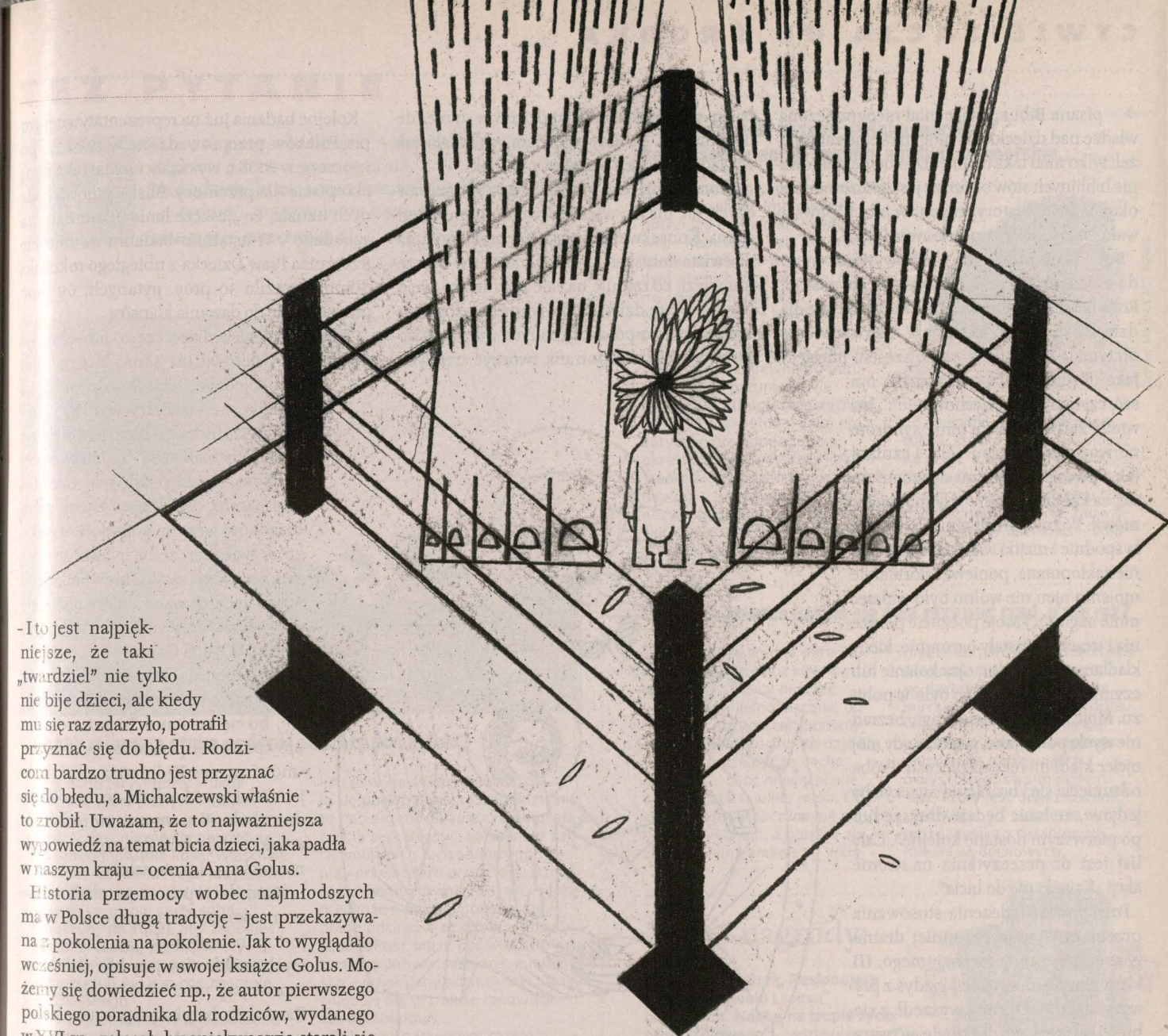
Tiger żałuje, że uderzył

Na stronie kampanii „Kocham. Nie daję klapsów” www.stopklapsom.pl Anna Golus zamieściła artykuł opisujący zawartość książki „Jak trenować dziecko?”. Tekst wywołał burzę, ludzie zaczęli sobie go przysyłać, sprawą zaczęły się interesować media. Ania utworzyła więc na Facebooku osobne wydarzenie: „Zdejmijmy instrukcje bicia dzieci z półek księgarni”, w krótkim czasie przyłącza się do niego ponad 1300 osób.

Jako pierwszy zaoferował wsparcie Grzegorz Kmita, bardziej znany jako Patyczak, punkowy muzyk z Poznania i szef rady rodziców w przedszkolu, do którego uczęszcza jego pięcioletni syn. – Nigdy go nie uderzyłem i jak pomyśleć, że miałbym go bić i jeszcze przy tym obserwować, czy jego płacz zmienia ton z „gniewnego” na „uległy”, jak zaleca jedna z książek, to mnie aż nosi – denerwuje się Patyczak. – Od razu było dla mnie jasne, że zaangażuję się w tę kampanię.

– Oprócz Patyczaka faktyczne wsparcie otrzymałam od magazynu „Bachor”, fundacji MaMa i warszawskich hakerów, którzy przekazali mi laptopa na potrzeby kampanii, bo cała akcja była tworzona na sprzęcie, który działał na słowo honoru – przyznaje Golus.

Media chętnie podchwyciły temat, ale mówiły tylko o jednej książce „Jak trenować dziecko?”. Podobnych książek jest jednak na rynku więcej. Facebookowe wydarzenie zamienia się więc teraz w akcję „Książki nie do bicia”. Patyczak namówił Anię na przyjazd do Warszawy i występ w telewizji śniadaniowej. Obok niej zasiadł Dariusz „Tiger” Michalczewski, jeden z najbardziej utytułowanych polskich bokserów. W trakcie programu przyznał, że raz w życiu zbił pasem swego syna i strasznie tego żałuje.



– To jest najpiękniejsze, że taki „twardziel” nie tylko nie bije dzieci, ale kiedy mu się raz zdarzyło, potrafił przyznać się do błędu. Rodzicom bardzo trudno jest przyznać się do błędu, a Michalczewski właśnie to zrobił. Uważam, że to najważniejsza wypowiedź na temat bicia dzieci, jaka padła w naszym kraju – ocenia Anna Golus.

Historia przemocy wobec najmłodszych ma w Polsce długą tradycję – jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Jak to wyglądało wcześniej, opisuje w swojej książce Golus. Możemy się dowiedzieć np., że autor pierwszego polskiego poradnika dla rodziców, wydanego w XVI w., zalecał, by opiekunowie starali się tak bić dzieci, żeby ich nie zabić. Wiek później radzono już, aby nie bić dzieci, gdzie popadnie, czymkolwiek, co wpadnie w ręce. Czyli jeżeli kijem, to nie przez łeb, tylko po plecach.

Fala pobić ze skutkiem śmiertelnym niemowląt i kilkuletnich dzieci w zaciszu domowym, która kilka lat temu przetoczyła się przez Polskę, przechyliła szalę na rzecz wprowadzenia całkowitego zakazu stosowania kar cielesnych wobec dzieci. Nie brakuje jednak obrońców wolności w doborze stosowania metod wychowawczych przez rodziców – jak lubią się określać zwolennicy klapsów. Straszą przy tym wizją rozpasanej młodzieży, która w poczuciu bezkarności wejdzie rodzicom na głowę. Podają przykład Szwecji, gdzie dzieci mają ponoć wytaczać sprawy własnym rodzicom, gdy ci tylko podniosą na nich rękę (taką argumentację przytacza wydawca Vocatio).

– Takie opinie może głosić tylko ktoś, kto nie zna dobrze tego kraju. Oczywiście w Szwecji nie wolno bić dzieci i gdy te są ofiarami przemocy, mogą zwrócić się do pomocy społecznej lub organizacji pozarządowej BRIS. Nikogo tutaj to nie dziwi. Nie można mówić o jakimś nadużywaniu tego prawa. Mam wrażenie, że polska młodzież jest o wiele trudniejsza i sprawiająca więcej kłopotów, na przykład dużo więcej pali i pije niż ich szwedzcy rówieśnicy – zauważa Elżbieta Winkiel, Polka od 30 lat mieszkająca w Szwecji, matka dwójki dorosłych dzieci.

Skutki różgi w praktyce

Akcja przeciwko zachęcaniu do przemocy spotkała się ze zdecydowaną reakcją środowisk konserwatywnych. Rzecznika praw dziecka po zgłoszeniu do prokuratury książki „Jak tre-

nować dziecko” zaatakował „Gość Niedzielny”. Dostało się również Ani Golus – na portalu Fronda zasugerowano, że autorka kampanii przeciwnej wspomnianym publikacjom zapewne jest też... za aborcją. Natomiast portal Chryscjanin24.pl nie mógł zrozumieć, jak ktoś protestuje przeciwko książkom o stosowaniu kar cielesnych, a nie przeszkadza mu obecność w księgarniach pozycji afirmujących seks grupowy albo poradników, jak uwięzić mężczyznę.

– W tym kontekście tym bardziej należy docenić postawę, jaką reprezentuje ks. Jacek Prusak, publicysta „Tygodnika Powszechnego” i psycholog przekonujący, że nie da się pogodzić bicia dzieci z wiarą chrześcijańską – podkreśla Jakub Śpiewak.

– Odwoływanie się do tradycji czy też do Biblii jest bez sensu, bo w czasach, gdy była →

→ pisana Biblia, ojciec miał nieograniczoną władzę nad dzieckiem i mógł nawet je zabić, jeżeli tylko miał taką ochotę. Dosłowne traktowanie biblijnych słów o różdze jest ignorowaniem okoliczności historycznych, w jakich powstało Pismo Święte – przekonuje Golus.

Beth Fenimore była wychowywana metodą zalecaną przez amerykańskiego pastora Roya Lessina, autora książki „Kary cielesne dla dziecka: dlaczego, kiedy, jak”. Pierwsze lanie otrzymała od matki w wieku sześciu miesięcy. Jako dorosła osoba postanowiła opisać, czym było to „wychowanie”: „Już wtedy zauważyłam u mnie syndrom nerwowego skurczu jelit i czułam, jak z trwogi skręcają mi się wnętrzności, za każdym razem, gdy mój ojciec mówił. Później prosił mnie, bym zdjęła spodnie i majtki. Czułam się ogromnie zakłopotana, ponieważ normalnie mojemu ojcu nie wolno było widzieć mnie nago. [...] Moje poczucie poniżenia i strach wzrastały ogromnie, kiedy kładłam się na łóżku, ojca kolanie lub czymkolwiek innym, co było w pobliżu. Moje intymne miejsca były bezradnie wyeksponowane, podczas gdy mój ojciec kładł mi rękę na plecach. Próba odsunięcia się i bronienia znacząłaby jedynie, że lanie będzie dłuższe lub po pierwszym dostanę kolejne”. Cały list jest do przeczytania na stronie akcji „Książki nie do bicia”.

Polskie doświadczenia stosowania przemocy bywają nie mniej dramatyczne. „Syn mojego znajomego, III klasa gimnazjum, wrócił kiedyś z prywatki pijany. Ojciec „wyszedł z siebie” i uderzył go dotkliwie w twarz i kazał mu pójść do swojego pokoju. Rano znalazł syna wiszącego w szafie na pasku od spodni!” – pisze na jednym z forum internauta Piekar.

Inna ofiara przemocy rodzicielskiej, 60-letnia dziś kobieta, wspomina swoje dzieciństwo: „Za niegrzeczne zachowanie karano mnie, bijąc po ciełe skakanką, która była zrobiona z linki przypominającej połączenie plastiku z gumą. Efekt – bolało bardzo, zostawiało ślady i ciągnęło jak diabli. Rodzice przestali po tym, jak sportrzegli, że na sam ich widok oraz tejsze mojej zabawki uciekam przestraszona w kąt i reaguję, zasłaniając się rękami, płacząc głośno, dosłownie przerażona. Kiedy kilka lat później przypadkiem ją znalazłam, ze strachu pocięłam ją całą na maleńkie kawałki i wybiegłam przed blok wyrzucić ją prosto do ogromnego pojemnika, żeby już nigdy rodzice jej nie znaleźli. Panicznie

bałam się i tej skakanki, i rodziców w stanie zdenerwowania. Do dziś pamiętam, jak bolało, jak wyglądała i do dziś budzi we mnie lęk”.

– Promowanie tego rodzaju metod wychowawczych nie ma nic wspólnego z dobrymi intencjami. Konsekwencją bicia jest brak zaufania do świata dorosłych oraz zaburzenia w tworzeniu więzi, co rzutuje na całe późniejsze życie. Niektóre bite dzieci mają syndrom szoku porażowego, zespół zaburzonych więzi, a w dorosłym życiu nie potrafią tworzyć trwałych



związków międzyludzkich. Człowiek uczy się zachowań między innymi przez naśladowanie zatem bici biją – stwierdza dr Małgorzata Michel z Uniwersytetu Jagiellońskiego, pedagog resocjalizacji, założycielka Akademii Profilaktyki i Edukacji APERTI.

Jak kocham, to nie biję

Pierwsze poważniejsze badania nad biciem dzieci w Polsce przeprowadzono w połowie lat 80. ubiegłego wieku. Zebrano ankiety od 100 warszawskich rodzin (ponad 80 proc. stanowią w niej osoby ze średnim i wyższym wykształceniem). Ponad 80 proc. rodziców przyznało, że daje klapsy, 70 proc. bije dzieci otwartą ręką, 44 proc. pasem, a kilkanaście, czym popadnie, w tym pięściami i nogami.

Kolejne badania już na reprezentatywnej grupie Polaków przeprowadzone w 1994 r. i powtórzone w 2008 r. wykazały niemal taką samą akceptację dla przemocy. Blisko połowa badanych uznała, że „jeszcze lanie nikomu nie zaszkodziło”. W ostatnim badaniu na zlecenie Rzecznika Praw Dziecka z ubiegłego roku taką opinię wyraziło 36 proc. pytanym, 69 proc. przyznało się do dawania klapsów.

– Zwolennicy bicia dzieci często odwołują się do tradycji, twierdząc, że skoro bici byli oni i ich ojcowie, dziadkowie oraz pradiadkowie i wszyscy wyrosli na porządnym ludzi, to bicie jest słuszne i dobre. Jednak, o ile dzisiejsze dzieci są bite zazwyczaj ręką, o tyle rodziców bito pasem, dziadków – kijem, a pradiadków – czym popadnie. Osoby, które twierdzą, że bicie jeszcze nikomu nie zaszkodziło, nie wiedzą, że w dawnych czasach dzieci umierały w wyniku stosowania kar cielesnych – zauważa Anna Golus.

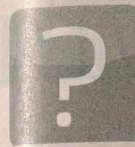
– To, co w „Mądrej miłości” mnie przeraża, to wmawianie dziecku: biję cię, bo cię kocham! To jest trenowanie sprawców przemocy w rodzinie – mówi prezes Kidprotect.pl. I dodaje: – Jak kogoś kocham, to mu oszczędzam bólu. A tu wmawia się rodzicom, że jak nie biją dzieci, to znaczy, że ich nie kochają i im nie zależy.

– Każde bicie pozostawia ślady zarówno na skórze, jak i w psychice. Klaps jest poniżeniem bitego i uczy prostych zasad: silniejszy bije słabszego, mocniejszy mści się na bezbronny. Każde bite dziecko ma poczucie bezsilności, ono rodzi bunt, poczucie krzywdy i złość – zauważa Dorota Zawadzka, znana pedagożka, autorka poradników

oraz programów telewizyjnych na temat wychowania. – Rozwój osobowości w tak niesprzyjających warunkach skutkuje brakiem równowagi emocjonalnej oraz zaburzonym obrazem świata. Nawet najślaby klaps jest aktem agresji – podkreśla Superniania.

Poza Vocatio wydawnictwem oferującym wymienione w artykule książki jest lubelskie Pojednanie. Oba odmówiły jakiegokolwiek komentarza w tej sprawie. Ale „Dziecko i wychowanie” podobnie jak utrzymana w tym samym duchu „I kto tu rządzi?” są cały czas do kupienia w empiaku. Natomiast ceny wycofanych przez wydawców książek natychmiast wzrosły na Allegro. Ich zwolennicy równie szybko zamieścili zeskanowane wersje wycofanych podręczników w Internecie. Dla dobra dzieci, rzecz jasna. •

TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

JOANNA OMORSKA



1. Co tak miarowo stuka podczas podróży pociągiem?

Charakterystyczny stukot kół, który jednych irytuje, a innych wprowadza w błogi senny nastrój, jest niezwykle potrzebny do funkcjonowania kolei. Właściwie nie sam stukot, ale jego przyczyna. Złącza szyn są specjalnie izolowane (a więc szyny nie są ze sobą połączone na stałe), aby zapobiec ich rozprężaniu, pęknięciu czy wygięciu pod wpływem skrajnych temperatur. Ale jest coś znacznie ważniejszego.

Pomiędzy szynami umieszczana jest zapadka – gdy koła składu najeżdżają na nią przerywany jest sygnał elektryczny. Dzięki temu można dokładnie zlokalizować, w ja-

kim punkcie swojej trasy znajduje się pociąg danej relacji. Pozwala to na zorganizowanie systemu włączania semaforów i szlabanów zatrzymujących ruch samochodowy przy przejazdach przez tory. Dzięki temu można również ustalić, z jaką prędkością pociągi pokonują wybrane odcinki, a to o tyle istotne, że szybkość może być większa, gdy trasy są unowocześnione, a mniejsza – jeżeli dany odcinek jest stary, znajduje się w trakcie renowacji czy przebudowy.

Tak więc następnym razem przysypiając w przedziale, pomyślmy o tym, że stukot kół to nie przypadek...

2. Skąd się wzięła nazwa „świnka morska”? Bo właściwie ani to świnka, ani zwierzę morskie...

Te urocze gryzonie z rodziny caviidae (marowate) pochodzą z Ameryki Południowej – hodowane były już przez Inków, w o wiele mniej przyjemnym dla nich samych celu, niż my to robimy obecnie. Najpowszechniej znanym ich przedstawicielem jest świnka morska domowa (cavia cobaya), pochodząca zapewne od peruwiańskiego gatunku cavia cutleri. Do Europy zwierzęta te trafiły one ok. 1500 r. Jako egzotyczne prawdopodobnie określane były wówczas jako „zamorskie” (pochodzące z morza), a z biegiem lat człon tej nazwy uległ skróceniu do „morskich”. Natomiast określenie „świnka” wzięło się zapewne



od specyfiki ciała. Wałkowały tułów, krótka sierść, niewidoczna szyja, a nawet dźwięki wydawane przez marowate przypominają świnię domową. Nie dało się natomiast nie zauważyć różnicy w wielkości – stąd zdrobnienie.

3. Dlaczego zawsze kaszle się dwa razy pod rząd, a nie raz?

To bardzo trudne pytanie. Po rozmowie z kilkoma lekarzami żaden z nich nie udzielił nam jednoznacznej odpowiedzi dotyczącej „podwójności” tego odruchu. Wydaje się więc, że może być to cecha osobnicza, choć niewątpliwie występująca u wielu osób. Odruch kaszlowy zaczyna się głębokim wdechem, a głośno zostaje po nim zamknięta. Wcią-

gnięte do płuc powietrze zostaje sprężone, a mięśnie wydechowe się gwałtownie kurczą. W trakcie tego procesu w pewnej chwili głośno się otwiera, a powietrze zostaje wyrzucone na zewnątrz, oczyszczając swoim pędem śluz, który jest odkaszczany. „Podwójność” kaszlenia być może wynika z osłabionych mięśni wydechowych.

Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespoleństwo nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaz 1 % podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl



TOMASZ BOREJZA

Dennis Williams został skazany na śmierć za gwałt i podwójne morderstwo. O wyroku zdecydowało zeżnanie naocznego świadka. Okazało się, że był niewinny. Na wolność wyszedł po 17 latach. Jest jednym z niemal 300 Amerykanów, których zżakrat wyciągnęli pracownicy sieci The Innocence Project.

Skazani za włos

W listopadzie 1978 r. w jednym z miast Illinois uprowadzono ze stacji benzynowej 23-letnią kobietę oraz jej narzeczonego. Sprawcy przewieźli ich do opuszczonego budynku w Ford Heighst. Tam najpierw zgwałcili dziewczynę, a następnie zastrzelili obie ofiary. Policja była zdeterminowana, by pokazać się z jak najlepszej strony i znaleźć sprawców. Wkrótce zatrzymano Dennisa Williamsa, Kennetha Adamsa, Willie'ego Rainga oraz Verneala Jimersona – czterech chłopaków „z sąsiedztwa”, których media ochrzciły mianem Ford Heighst Four.

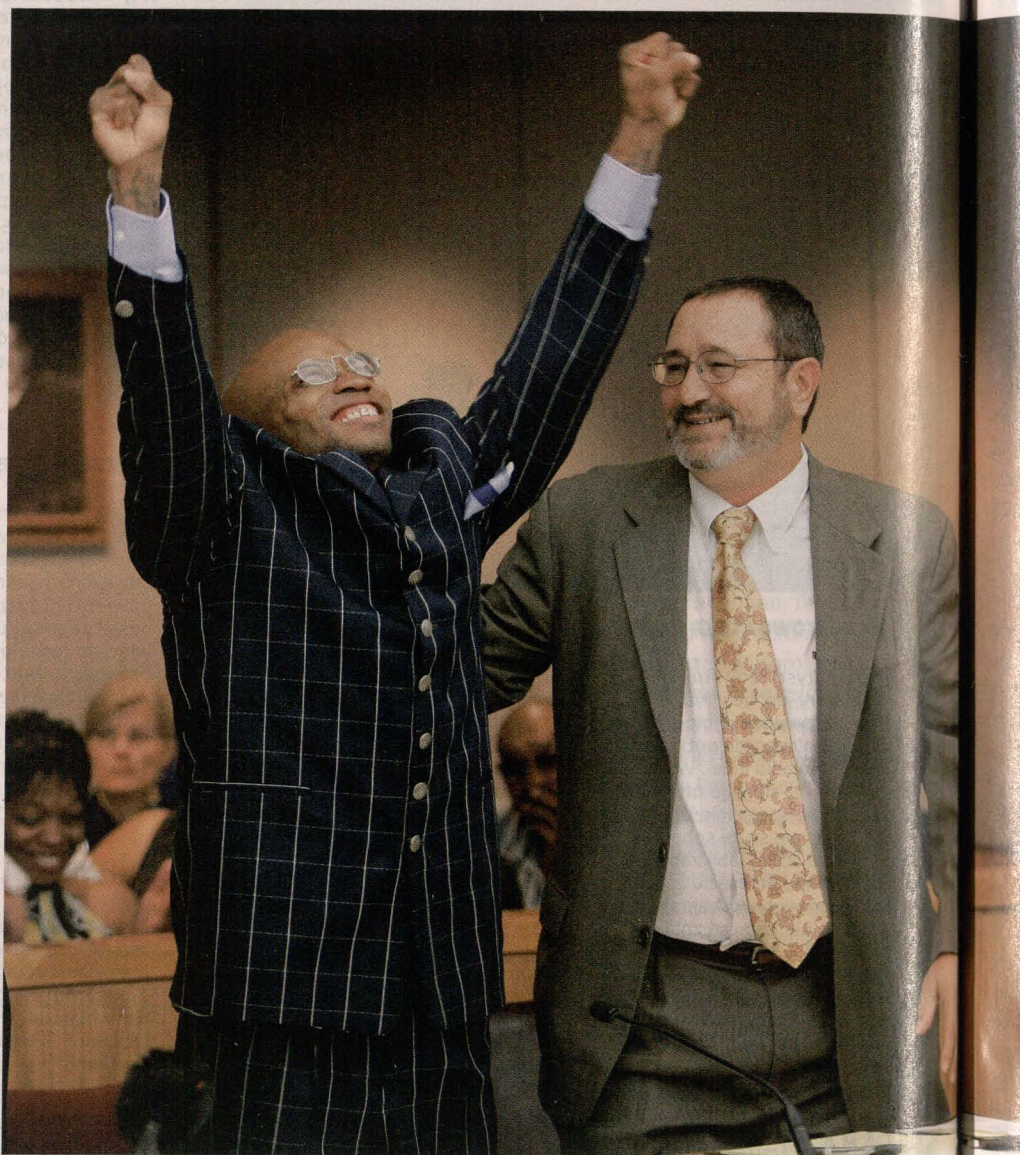
Podstawą oskarżenia była identyfikacja dokonana przez świadka. Kobieta widziała rzekomo całą czwórkę w okolicy, w której popełniono zbrodnię. Argumentację uzupełnił dowód kryminalistyczny: włos znaleziony w samochodzie jednego z nich. Włos poddany badaniu mikroskopowemu (era DNA miała dopiero nadejść) eksperci uznali za należący do ofiary. Ława nie miała wątpliwości. Wyrok: winni. Williams i Jimerson zostali skazani na śmierć. Rainge na dożywocie. A Adams na 75 lat więzienia.

Po kilkunastu latach sprawą zajęli się dziennikarze i studenci zaangażowani w prace Projektu Niewinność. Ich uwagę oprócz słabej argumentacji prokuratury zwróciło to, że Paula Gray, która była jedynym naocznym świadkiem zajścia, chciała odwołać zeznania przed powtórnym procesem wywalczonym przez skazańców. Na odwołanie zeznań nie pozwoliła jednak prokuratura. Oskarżyła ją o kłamstwo pod przysięgą i dała wybór: podtrzymanie zeznań lub więzienie. Kobieta wybrała to pierwsze, dopuszczając do powtórnego skazania.

W latach 90. udało się uzyskać dostęp do dowodów i przy pomocy testów DNA wykazano niewinność skazanych. Po 17 latach mogli wyjść z więzienia. Ford Heighst Four otrzymali 36 mln dol. odszkodowania i stali się żywym dowodem na zawodność sądów.

Wyszli na wolność dzięki pracy osób zaangażowanych w The Innocence Project, organizację non-profit, którą w 1992 r. założyli Yeshiva Barry Sheck, profesor szkoły prawa Uniwersytetu Yale, i adwokat Peter Neufeld. Początko-

Projekt Niewinność



Tony Gutierrez/AP/EAST NEWS

wo Projekt był przede wszystkim bezpłatną poradnią prawną, która chciała pomagać osobom już skazanym. Z czasem pierwsze biuro stało się wzorem dla innych i podobne inicjatywy – tworzone przede wszystkim przez studentów prawa oraz dziennikarstwa, pracujących pod kierunkiem bardziej doświadczonych kolegów – zaczęły powstawać w całych Stanach Zjednoczonych, a także poza ich granicami (The Innocence Network działa np. w Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Holandii).

Rozwój inicjatywy napędzały kolejne spektakularne sukcesy, wśród nich udowadniające

niewinność osób oczekujących na wyroki w celach śmierci. W bezpośrednie działania projektu angażowały się też osoby znane i poważane, np. John Grisham.

Transfer pamięciowy

Nagłaśnianie kolejnych sukcesów nie tylko pozwoliło zamienić poradnię w sprawnie działającą sieć skupiającą szkoły prawa i dziennikarstwa oraz biura obrońców z urzędu, ale też doprowadziło do podważenia wiary, jaką przysięgli zwykli obdarzać przedstawiane przez prokuraturę dowody. Efekty Projektu Niewinność

Winny, bo są twarde dowody, winna, bo świadek ją rozpoznał, winni, bo sami się przyznali. Nic bardziej mylącego. Od 20 lat Projekt Niewinność ratuje życie niesłusznie skazanym

com. Powodem jest zarówno wiedza ogólna (wyobrażenia, jakie mają świadkowie, np. o napadzie na bank), czyli schematy i stereotypy, prowokujące, by dopowiadać szczegóły, których w rzeczywistości nie było, jak i zjawisko łączenia prawdziwych wydarzeń w nieprawdziwą całość, które Loftus określiła jako „nieświadomy transfer pamięciowy”. Chodzi o włączanie we wspomnienia informacji zasłyszanych (np. z telewizji, od policjantów) i łączenia ich w jedno. Świetnie obrazuje to głośna sprawa, kiedy kasjer rozpoznał jednego z klientów jako sprawcę napadu. Dzięki żelaznemu alibi zaczęto drążyć i okazało się, że klient kilka razy kupował u niego bilety oraz że sprzedawca musiał zapamiętać jego twarz, po czym obraz ten włączył do wspomnienia o napadzie.

Do innych przyczyn zniekształceń należą selektywność uwagi, a także stereotypy i uprzedzenia. Mogą one dotyczyć zarówno ról społecznych, jak i rasy. Dowiodły tego eksperymenty Gordona Allporta z lat 50. Badanym pokazywano obrazek przedstawiający białego mężczyznę z brzytwą straszącego czarnoskórego ubranego w elegancki garnitur. Większość badanych mających negatywny obraz Afroamerykanów „widziała” czarnoskórego z brzytwą grożącego elegancko ubranemu białemu! Oprócz stereotypów jest jeszcze zjawisko znacznie gorszej zdolności identyfikacji osób należących do innych grup etnicznych. To „efekt międzykulturowy” potwierdzony w badaniach psychologów społecznych do pewnego stopnia tłumaczący, dlaczego ponad 70 proc. skazanych uniewinnionych dzięki Projektowi Niewinność należy do mniejszości etnicznych.

Świadek nie wie, że kłamie

Poważnym powodem niesłusznych oskarżeń jest to, że świadek kłamie, nie wiedząc, że kłamie, przez co jest niezwykle wiarygodny. Mamy też naturalną skłonność do wierzenia, gdy ktoś mówi, że widział coś „na pewno”.

Tymczasem nic bardziej mylnego. Ograniczenia naszego aparatu poznawczego oraz podatność na presję społeczną pozwalają na fałszowanie obrazu wydarzeń, które mieliśmy widzieć i które odtwarzamy z pamięci. Wiemy, że ludzie potrafią tworzyć wspomnienia („Fotomontaż pamięci”, „Przekrój” 6/2012) – dotyczy to nie tylko wydarzeń odległych w czasie, ale i szczegółów tego, co widzieliśmy przed chwilą. Jason Chan, Ayanna Thomas i John Bulevich pokazywali uczestnikom swojego eksperymentu pierwszy odcinek serialu „24 godziny”. Następnie część z nich proszono o odpowiedzi na pytania dotyczące tego, co widzieli (na przykład: „Jakiego narzędzia użył terro-

stały się ważnym argumentem na rzecz reformy wymiaru sprawiedliwości. Udało się pokazać nie tylko skalę i wagę błędów, ale także ich najczęstsze powody. Od początku lat 90. do dziś wyciągnięto zżakrat prawie 300 osób. W ponad 70 proc. spraw podstawą oskarżenia były zeznania naocznego świadka lub ofiar przestępstwa. Wbrew intuicyjnemu przekonaniu są to najmniej pewne dowody.

rysta, by obezwładnić stewardesę?”). Druga część w tym czasie zajmowała się czymś zupełnie innym: grała w tetrisa. W kolejnym etapie przez 25 minut starano się odwrócić uwagę jednych i drugich, nakazując im wypełniać testy niezwiązane z celem eksperymentu. Wreszcie puszczono im streszczenie odcinka, w którym pojawiały się poprawne, neutralne bądź mylące odpowiedzi na wcześniejsze pytania. I ponownie przeprowadzono test.

Wynik? W pierwszym teście uczestnicy odpowiadali poprawnie średnio na 63 proc. pytań. W powtórzonym radzili sobie doskonale z tymi, które były poprawnie opisane w streszczeniu. Na pytania neutralnie opisane w streszczeniu odpowiadali podobnie jak za pierwszym razem. Natomiast na pytania odnoszące się do tego, co było mylące – w ok. 40 proc. odpowiadali zgodnie z treścią zawartą w odtworzonym (mylnym) nagraniu. Przy tym znacznie częściej (o ok. 20 proc.) robili to ci, którzy musieli przypomnieć sobie wydarzenia odcinka zaraz po tym, gdy go obejrzeli. Czas (i tetris) pomagały w uzyskaniu lepszego wyniku, który jednak i tak był bardzo zły.

Jak podkreślają autorzy eksperymentu, wyniki te wskazują, że wczesne przypomnienie – które charakteryzuje osoby dzwoniące na 112 lub przesłuchiwane zaraz po zdarzeniu – zwiększa zjawisko łączenia tego, co się pamięta, z tym, co się usłyszało lub co zostało nam zasugerowane.

Sugestiami zajął się Daniel Gurney z Uniwersytetu Hertfordshire, który sprawdzał, jak gesty policjantów wpływają na zeznania świadków. – Odkryliśmy, że naocznici świadkowie mogą zacząć wierzyć, że widzieli coś, czego nie widzieli, kiedy przesłuchujący gestykuluje w mylący sposób – mówił dla „Science Daily”. – Na przykład wielu ludzi przypominało sobie mężczyznę z brodą, kiedy rozmówca pocierał się po podbródku – opowiadał.

Dokładność naszego aparatu poznawczego ulega dramatycznemu ograniczeniu, gdy jesteśmy poddani presji społecznej. I nie musi chodzić nawet o celowe wywieranie wpływu. Wystarczy, że znajdziemy się w nowej sytuacji, w której chcemy „zadowolić” otoczenie. Pracownicy Projektu Niewinność wskazują np. często, że ofiary przestępstw pytają policjantów, czy sobie poradziły podczas okazania. Policjanci przytakuja, co z kolei upewnia świadków, że wybrali właściwą osobę. Nabierają przekonania, że wskazali winnego, i są gotowi potwierdzić tę identyfikację w sądzie.

Jednocześnie, nawet w razie wątpliwości, wycofanie się z popełnionego błędu jest prawie niemożliwe. Z jednej strony łamie →

→ naszą potrzebę prezentowania konsekwencji, wywołuje lęk przed kompromitacją, a z drugiej napotyka opór tych, którzy pracowali w oparciu o błędną identyfikację. W skrajnych przypadkach – tak było z Ford Heighst Four – grozi nawet oskarżeniem o składanie fałszywych zeznań.

Drugim najczęstszym powodem błędu sądowego jest przyznanie się oskarżonego do winy. Tak było w około co trzeciej sprawie, w której później wykazano niewinność skazanego. Przyznanie się osoby oskarżonej jest szczególnie mylące dla ławy przysięgłych, ponieważ jako oczywistość traktujemy założenie, że niewinny człowiek nie potwierdzi, że zrobił coś, czego nie zrobił. Tylko czy na pewno?

W październiku 1988 r. w Fort Lauderdale na Florydzie czarny mężczyzna napadł na 30-letnią kobietę, zgwałcił ją i okradł. Ofiara, której pokazano album ze zdjęciami potencjalnych sprawców, wskazała Larry'ego Bostica. Prokurator dał mu wybór: osiem lat w zamian za przyznanie się lub proces, który niemal na pewno skończy się skazaniem i dożywociem. Osiem lat brzmiało lepiej. Bostic przyznał się do gwałtu. Odsiedział trzy lata i został warunkowo zwolniony. Dziewięć miesięcy później zatrzymano go za rozbój. Wyrok: 12 lat za napad, ponieważ był już wcześniej karany, i 17 lat za złamanie zasad zwolnienia warunkowego. W 2007 r. udało mu się uzyskać zgodę na badania śladów DNA z bielizny ofiary. Okazało się, że był niewinny. Wyszedł z więzienia po 18 latach.

Kto ukradł laptop

Postawienie przed podejrzanym fałszywej alternatywy i pokazanie mu nieuchronności bardzo wysokiej kary to zapewne najczęstszy z powodów, dla których niewinni ludzie przyznają się do winy. Zwłaszcza osoby młode, niewykształcone i bez adwokata. Jednak to niejedyny powód. Często motywacją jest chęć osłonięcia kogoś bliskiego lub ukarania siebie za inne winy. Zdarzają się też sytuacje, gdy policji udaje się przekonać niewinnego, że po prostu nie pamięta zbrodni, ponieważ popełnił ją pod wpływem alkoholu lub narkotyków.

Ciekawy eksperyment pokazujący, jak łatwo przekonać kogoś do winy, przeprowadzili Saul Kassina i Katherine Kiechel. Uczestnicy eksperymentu mieli pracować na komputerach. Zakazano im dotykania jednego z przycisków, ponieważ miało to spowodować awarię sprzętu. W rzeczywistości był tak zaprogramowany, że sam się wyłączał. Następnie oskarżano

badanych o dotknięcie „zakazanego” klawisza. Do „winy” przyznali się niemal wszyscy. 70 proc. z nich powiedziało siedzącemu w poczekalni współpracownikowi Kassina i Kiechel, że rzeczywiście zepsuli komputer. Ponad jedna trzecia potrafiła nawet stworzyć scenariusz tłumaczący, jak to zrobili.

Przyznania się do winy wymagają ostrożności także dlatego, że pociągają za sobą lawinę kolejnych błędów. Statystyki Projektu Niewinność pokazują, że kiedy podstawą oskarżenia jest samooskarżenie, to często idą za nim także błędy kryminologów oraz świadków. Przekonanie, że skoro „facet się przyznał, to musi być winny”, powoduje bowiem, że śledczy naciągają inne dowody i ignorują te, które mogłyby wskazywać, że oskarżają niewłaściwego człowieka.

I tu znów pojawia się eksperyment Saula Kassina (przeprowadzony z Lisą Hasel), który po-

„Facet się przyznał, czyli musi być winny, więc śledczy naciągają inne dowody i ignorują te, które mogłyby świadczyć, że oskarżają niewłaściwą osobę

kazuje, z jak dużą siłą przyznanie się do winy uruchamia to, że śledczy naciągają inne dowody i ignorują te, które mogłyby wskazywać, iż oskarżają niewłaściwego człowieka. Badacze zaaranżowali sytuację, w której niewielka grupa studentów siedziała w uniwersyteckiej salce. Na stole leżał laptop. W pewnym momencie do pomieszczenia wchodził współpracownik eksperymentatorów i zabierał komputer. Kilka minut później w pokoju zjawiała się asystentka szukająca notebooka. Kiedy okazywało się, że ten zniknął, mówiono studentom, iż został skradziony, i proszono ich o pomoc w złapaniu złodzieja.

Kolejnym etapem było okazanie im – w policyjnym stylu – podejrzanym, wśród których nie było właściwej osoby, i prośba o wskazanie winnego. Większość uczestników wybierała jedną z niewinnych osób, a wielu deklaroowało przy tym, że są pewni swojego wyboru. Po dwóch dniach ponownie proszono ich o pomoc. Tym razem informowano jednak, że wskazany „przestępca” utrzymuje, iż jest niewinny lub że do kradzieży przyznał się ktoś inny. W tym pierwszym wypadku niemal nikt nie zmienił

zdania („przecież wszyscy tak mówią”). W drugim aż 60 proc. świadków wycofało pierwszą identyfikację i wskazało tego, który rzekomo przyznał się do winy.

Dwa tysiące polskich błędów

Badania pokazują mechanizmy prowadzące do brzemiennych w skutki pomyłek sądowych, na które powinni być uwrażliwiani śledczy i przysięgli. Skazani i niewinnieni dzięki działaniom Projektu spędzali w więzieniach średnio 13 lat. Jednocześnie na wolności pozostawali prawdziwi winowajcy, których – w niemal połowie spraw – udało się zatrzymać dopiero po wypuszczeniu niewinnie skazanych.

Ale to nie wszystko. Wyniki tych prac to także poważny argument przeciwko karze śmierci. Aż 17 z niemal 300 ludzi, których niewinniono dzięki pracom Projektu Niewinność, oczekiwało na jej wykonanie. Część z nich nie doczekała uniewinnienia. Szczególnym przykładem jest tu Frank Lee Smith skazany na podstawie zeznań naoczego świadka, który zmarł po 14 latach spędzonych w celi śmierci. Oczyszczono go z zarzutów dopiero pośmiertnie.

Ograniczenia możliwości poznawczych w równym stopniu rzecz jasna dotyczą Amerykanów co np. Polaków. W Polsce brakuje oficjalnych danych o tego rodzaju błędach, ale stowarzyszenie In Dubio Pro Reo, działające na rzecz osób niewinnie oskarżonych w Polsce, szacuje niesłusznie skazanych za sprawą zeznań świadków na dwa tysiące rocznie! Stowarzyszenie chciałoby np. odpowiedzialności prokuratorów za przedłużanie aresztowania osoby niewinnej. Niestety w Polsce brakuje rzetelnych wytycznych i jasnych procedur dotyczących chociażby przesłuchań. Większość policjantów nie ma pojęcia o wynikach badań psychologów społecznych i o tym, jak łatwo świadkowi coś fałszywego zasugerować. Poza tym procesy ciągną się u nas bardzo długo. Po latach od zdarzenia nikt nie pamięta, co dokładnie miało miejsce, bo wspomnienia są już bardzo zniekształcone.

W Polsce zeznania świadka uważane za pewne dowody w bardzo wielu sprawach stanowią podstawę oskarżenia, a co gorsza, w wielu sprawach są one jedynym dowodem, ponieważ innych śladów nie zabezpieczono lub zrobiono to źle. W dodatku trudno sądzić, żeby w kraju, gdzie odpowiedzialność wymiaru sprawiedliwości przed opinią publiczną jest jedynie iluzoryczna, było lepiej niż tam, gdzie opinia publiczna bezpośrednio wpływa na egzekwowanie prawa, a część stanowisk wymiaru sprawiedliwości jest obsadzana na drodze wyborów.

Psychologiczny Doktor Śmierć

Wynik testu IQ może w USA decydować o życiu lub śmierci

ALEKSANDRA BILEWICZ

Wydawałoby się, że czasy, w których psychologia i medycyna stały na straży eugeniki i uzasadniały eliminację „niepotrzebnych” jednostek ze społeczeństwa, mamy już od dawna za sobą. Jednak w USA nauka ta nadal wprzęgnięta jest w państwową maszynę zabijania. W stanach, w których wykonuje się karę śmierci, psychologowie decydują o tym, kto będzie żył, a kto nie. Na mocy wyroku Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych z 2002 r.



osoby z orzeczoną niepełnosprawnością intelektualną nie mogą bowiem być poddawane egzekucji. Problem w tym, że sąd pozostawił poszczególne stany wolność definiowania upośledzenia umysłowego i wyboru metod jego pomiaru.

Doktor Śmierć

Możliwość manipulacji pomiarami inteligencji pokazała dobitnie sprawa doktora George'a Denkwskiego z Teksasu, zwanego Doktorem Śmiercią, który w kwietniu 2011 r. dostał na mocy ugody zakaz wykonywania sądowych ekspertyz. Doktor Denkowski znany był z tego, że prawie nigdy nie orzekał niepełnosprawności intelektualnej u skazanych. Posługując się pokrętną argumentacją, niejednokrotnie zawyżał wyniki testów inteligencji. Psycholog twierdził, że osoby z niższych warstw społecznych, spośród których rekrutowało się wielu skazanych, nie posiadli pew-

nych umiejętności nie ze względu na intelektualną ułomność, lecz kulturowe ubóstwo swojego środowiska. W opublikowanym w 2008 r. artykule dowodził, że czynniki kulturowe powinny być brane pod uwagę w mierzeniu inteligencji.

Inni psychologowie kliniczni wskazywali jednak na fakt, że Denkowski robił wszystko, aby nie orzec niepełnosprawności, posługując się nienaukowymi metodami. Na przykład w sprawie Daniela Platy, mężczyzny pochodzącego z biednej meksykańskiej rodziny, skazanego na śmierć za zamordowanie sprzedawcy w trakcie napadu na sklep w New Houston. Adwokatka Platy zleciła badanie inteligencji swojego klienta psychologowi, który orzekł, że jego IQ wynosi 65 (70 to granica, poniżej której osobę można uznać za upośledzoną). Dodatkowo jej klient wypadł źle w testach adaptacyjnego za-

Sądowe dramaty

Co prawda, mechaniczne stosowanie testu Wechslera do pomiaru inteligencji kwestionowane jest przez specjalistów. Tylko że ich zalecenia idą dokładnie w odwrotnym kierunku niż praktyki niesławnego doktora Denkwskiego. Chodzi o tak zwany efekt Flynna sprowadzający się do tego, że z roku na rok ludzie są coraz inteligentniejsi, co odbija się również na wynikach testów. Odpowiadając na to wyzwanie, psychologowie próbują dostosowywać normy testów – choć to zawsze rodzi pewne kontrowersje. Dla skazanych na karę śmierci oznacza to większą szansę na uznanie za niepełnosprawnych intelektualnie, a zatem nadzieję na przeżycie.

Amerykańscy przeciwnicy kary śmierci są oburzeni, bo dr Denkowski nie musiał nawet publicznie przyznać się do błędu. Zapłacił jedynie

grzywnę w wysokości 5,5 tys. dol. Zwycięstwo w tej sprawie jest więc połowiczne.

W Polsce, choć nie mamy kary śmierci, psychologowie również powoływani są na biegłych sądowych między innymi po to, by orzekać o intelektualnej niepełnosprawności. – Sytuacja wygląda dramatycznie – mówi mi dr Mikołaj Winiewski z Akademii Pedagogiki Specjalnej. – Są problemy z narzędziami, nie ma żadnych norm, które mówiłyby o tym, które z nich są dozwolone. A decyzja psychologa najczęściej jest wiążąca – tłumaczy. Niejednoznaczność kryteriów oceny czyni rolę psychologa w procesie sądowym jeszcze bardziej kontrowersyjną. – Ideą jest obiektywność, tymczasem jest wiele miejsca na błąd, na subiektywną ocenę, która może wpływać na wyrok – dodaje Winiewski. Niezależnie od tego, jak bardzo poważne i obiektywne mogą wydawać się procedury, o skazaniu na śmierć ostatecznie zawsze decyduje człowiek.



Nowa krytyczna pamięć

Przemilczana pointa naszych rodzinnych historii jest tematem „Festung Warschau”. Mamy z nią do czynienia niemal co krok



TOMASZ ŻUKOWSKI

Nalewki. Po jednej stronie Ogrodu Krasińskich polskie domy, po drugiej getto. Oglądam zdjęcia w książce „Festung Warschau” Elżbiety Janickiej. To samo miejsce przed kwietniem 1943 r. i później latem. Tuż za murem – tam, gdzie stały kamienice – równina gruzów. Trudno sobie wyobrazić, co tam się musiało dziać.

W epilogu książki historia rodzinna. Dramatyczna, o polskim powstaniu z 1944 r. „Słyszałam tę historię niezliczoną ilość razy” – czytamy. „Zawsze bez pointy. Choć może pointa była. Tylko nie dosłyszałam. Ale raczej nie. Mówiło się zawsze: »okolice Grubej Kaśki«. Dopytuję. Nalewki 4 konkretnie. Kamienica granicząca z Ogrodem Krasińskich i skrzydłem pasażu Simonsa (Nalewki 2a). Jeśli od ogrodu pod czwórką nie było ślepej

ściany – słowem, jeśli okna domu wychodziły także na ogród – było z nich widać kamienice na Świętojerskiej. I »okno na tamtą stronę, bezczelne żydowskie okno«”.

To jakieś 300 metrów. Mieszkańcy musieli słyszeć strzały, krzyki ranionych i zabijanych, huk pożarów i walących się domów, skowyt palonych żywcem, musieli czuć smród. Ale w historii rodzinnej nie zostało po tym śladu. Tak jak w innych polskich historiach rodzin-

nych. Bo eksterminację widzieli wszyscy, a różnica sprowadzała się do dystansu. Czasem kilkaset metrów, czasem przez ulicę albo przez łąkę, jak w miasteczkach moich dziadków.

O czym się milczy?

Jaka jest zatem pointa naszych rodzinnych historii? To Nalewki dzisiaj i inne miejsca, o których pisze Elżbieta Janicka. Przemilczana pointa jest tematem „Festung Warschau”. A mamy z nią do czynienia niemal co krok. Trzeba tylko umieć patrzeć: po jednej stronie Ogrodu Krasińskich, przy Arsenale, nagromadzenie patriotycznych polskich upamiętnień: powstanie warszawskie, Batalion „Chrobry”, „Szare Szeregi”, prawdziwy festiwal. Nawet bitwa pod Monte Cassino i generał Anders nie wiadomo skąd i dlaczego. Dalej kamień na cześć powstania listopadowego. Tam, gdzie była brama getta i gdzie w 1943 r. rozpoczęło się żydowskie powstanie, do niedawna nic, a dzisiaj skromniutko. Upamiętnienie muru getta. Bez nazwisk, właściwie bez historii.

Szczególny rodzaj pamięci tylko o swoich. Ale wbrew pozorom także o tamtych, tylko już nie wprost. Odnosi się wrażenie, że właściwym tematem polskich patriotycznych upamiętnień jest to, co działo się za murem getta, a właściwie polskie wyobrażenie o Żydach i o sobie w relacji do nich. Nasze powstanie ma zepchnąć w cień ich powstanie, nasze cierpienie – ich cierpienie, nasza wartość ma przyćmić ich wartość. O tym się jednak głośno nie mówi. Można tylko obserwować przymus tworzenia znaków, nanoszenia polskich inskrypcji na żydowską przestrzeń. To nie przypadek. Elżbieta Janicka zgromadziła zbyt wiele dowodów: Nalewki, plac Muranowski, Umschlagplatz, „Jana Pawła Marchlewskiego”, kładka na Chłodnej, Szpital im. Bersohnów i Baumanów, Krochmalna. W powtarzalności podobnych gestów są reguła i symptom czegoś, co głęboko tkwi w polskiej kulturze.

Symboliczne zagospodarowanie przestrzeni dawnego getta to coś więcej niż tworzenie własnego obrazu przez kontrast z obcymi. Żydzi są dla polskiej kultury szczególnie obcy – to zdominowana mniejszość. Po lekturze książki Janickiej trudno oprzeć się myśli, że kultura większościowa w Polsce konstituuje się w aktach dominacji. Nie możemy sobie bez nich poradzić. Stąd przymus potwierdzania wyższości i przypomina o niej, tak jakby bez tego musiała się rozlecieć nasza zbiorowa tożsamość. Jakbyśmy

bez poczucia panowania nad tamtymi przedstawiali wiedzieć, kim jesteśmy.

Gra idzie o wysoką stawkę: obronę przed myślą, że jesteśmy ludźmi pośród innych ludzi. Równymi wśród równych. Tylko w ten sposób daje się utrzymać najważniejsze różnienie – na nas, naród polski, i całą resztę, na którą można patrzeć z góry. A szczególnie na nas i tych gorszych, których sami skazaliśmy na tę rolę i których z całą bezwzględnością pilnujemy, żeby z niej przypadkiem nie wyszli. Wytwarzanie i utrzymywanie wyobrażenia o narodzie wymaga ciągłego aplikowania przemocy: spychania mniejszości w poczucie bycia gorszą, uciszenia jej, wymuszania znaków uległości. Dyskryminacja okazuje się nieodłącznym cieniem polskiego patriotyzmu.

Bez niej zniknęłaby magia narodu. Trzeba więc podeprzeć bramy narodowej twierdzy. A jednak myśl, że mniejszość jest taka sama jak my, że stać ją było na heroiczne powstanie, że przeszła przez gorsze cierpienia niż Chrystus Narodów, nie daje spokoju i ciągle pobudza do symbolicznych działań.

Dominacja większości

Coraz więcej mówi się o „stosunkach polsko-żydowskich”. W sformułowaniu tym kryje się założenie równości stron. Elżbieta Janicka świadomie go nie używa. Stwierdzenie, że relacja między polską większością a Żydami jako mniejszością była relacją dominacji, wydaje się oczywiste. A jednak Janicka jako jedna z pierwszych bierze je na poważnie i wyciąga wnioski z tego – zdawałoby się – bijącego w oczy faktu.

Jeśli mamy do czynienia z dominacją, musimy sięgnąć po inne niż dotychczas narzędzia analizy – te, które pozwalają opisać niewidzialną przemoc i wskazać jej kulturowe korzenie oraz mechanizmy. W humanistyce dopracowano się takich narzędzi. Pracy Elżbiety Janickiej patronują tacy autorzy jak Pierre Bourdieu z koncepcją przemocy symbolicznej czy Erving Goffman z analizą piętna. W przypisach pojawiają się sporadycznie, ale autorka dobrze przemyślała i przyswoiła sobie to, co mieli do powiedzenia.

Przede wszystkim, że fundamentem dominacji jest kultura jako całość. Korzenie przemocy tkwią w wytwarzanym przez zbiorowość obrazie świata. Sięgają wszystkich jego

punktów i organizują nie tylko te fragmenty kultury, które bezpośrednio dotyczą mniejszości. Inaczej dominacja nie mogłaby się reprodukcja i nie znajdowałaby potwierdzenia jako coś z samej istoty rzeczy naturalnego i oczywistego. To na polskim rynku idei nowość. Szczególnie w zastosowaniu do antysemityzmu, który zwyczajowo postrzega się jako zjawisko marginalne i oddziela od zdrowego ponoć centrum kultury.

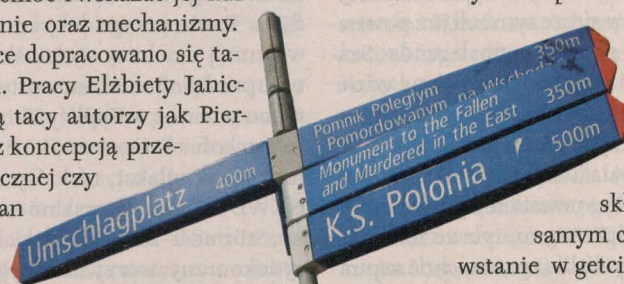
Sedno problemu tkwi w tym, na co wszyscy się zgadzają i z czym się utożsamiają. Co uchodzi za niekwestionowaną wartość, za autorytet poza wszelką dyskusją. Książka z pewnością wywoła oburzenie, bo przecież nie należy szargać zasłużonych i przyzwyczajonych ludzi, najpierw wypada zająć się tymi, którzy rzeczywiście mają niejedno na sumieniu. Otóż nie! Marginesy nie są interesujące, ponieważ korzenie zła tkwią w centrum. Elżbiecie Janickiej zależy na wydobyciu i opisanu wzorów kultury głównego nurtu oraz pokazaniu ich związku z dyskryminacją.

Co umknęło czytelnikom Kamińskiego

Janicka wybiera „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego, symbol okupacyjnej walki młodych Polaków z „Szarych Szeregów”, ich ofiarności, przyjaźni, wzajemnej solidarności. Tekst ma zadziwiającą historię. Akcja pod Arsenalem to 26 marca 1943 r. „Relacja Tadeusza Zawadzkiego »Zośki«, na podstawie której powstała książka Kamińskiego, została napisana w czasie świąt wielkanocnych 1943 r. Aleksander Kamiński zaczął dyktować swoją książkę zaraz po 1 maja tamtego roku”. W liście do Barbary Wachowicz wyznaje, że czuł się jak medium, „przez które wypowiada się jakaś wielka siła, siła podstawowych wartości”. Rzeczywiście podstawowych, ale zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażali on sam i jego czytelnicy.

Tak się składa, że w tym samym czasie trwało powstanie w getcie. Na początku maja dwaj wysłannicy ŻOB – Zygmunt Frydrych i Symcha Ratajzer – zaczęli szukać kontaktu z polskim podziemiem, żeby wprowadzić za mury jeszcze żywych towarzyszy. Rozmawiali między innymi z Kamińskim. Bez rezultatu.

Z perspektywy getta „Kamienie na szaniec” okazują się częścią dyskrymina-



→ cyjnych praktyk polskiej większości. Jak działa tego rodzaju przemoc? Większość nie pozostawia dyskryminowanym wielu możliwości ruchu. W sensie dosłownym oznacza to, że szanse na ocalenie okazują się dla nich niewielkie; nie są też w stanie zmienić znaczenia własnych postaw i działań w obowiązującym i prawomocnym dyskursie. Dominująca kultura aranżuje sytuację tak, żeby zadziały samosprawdzające się przepowiednie, żeby skutki dyskryminacji można było wziąć za dowody na niższość dyskryminowanych i na tej podstawie potwierdzić te same co zawsze oceny. A na koniec ogłosić, że podporządkowani są gorsi i winni.

Redagowany przez Kamińskiego „Biuletyn Informacyjny” pisał, że „bierna śmierć mas żydowskich nie stworzyła nowych wartości”. To zdanie jest straszne samo w sobie. Ale warto też pamiętać, że o przerzutach broni do getta decydowały polskie organizacje podziemne, które nie kwapiły się z pomocą. Na czele z AK, o czym Kamiński musiał doskonale wiedzieć z racji swoich kontaktów. Większość skazała dyskryminowanych na bierność i jednocześnie robi im z niej zarzut. Ma teraz podstawy, żeby oceniać i lubować się we własnej wyższości.

Cała ta konstrukcja opiera się na założeniu, że walka i honor są miarą wartości jednostek i grup. Przepustką do polskiej i ogólnoludzkiej wspólnoty. Żydzi doprowadzili do powstania, ale to wcale nie znaczy, że uznano ich równe prawa i zdjęto z nich piętno. „Biuletyn” pisał: „Bohaterska postawa tych, którzy (...) nie ztratili poczucia honoru, budzi szacunek i stanowi piękną kartę w dziejach Żydów polskich”. Ale to jeszcze nie powód, żeby okazać solidarność choćby niedobitkom bojowców. Z honorem czy bez niego mają zginąć, bo o pomocy w wyjściu za mury nie ma mowy. A w sferze symboli już powstaje legenda, która przyćmi getto: legenda „Szarych Szeregów” i akcji pod Arsenalem, gdzie Żydów po prostu nie ma. Nikt ich nie zauważył, choć przychodzili prosić o pomoc, a za oknem dopalała się żydowska dzielnica. Jej mieszkańcy i powstańcy pozostali wykluczeni tak jak przedtem, tyle że teraz pośmiertnie. Nie zyskali uznania, choć aspiracje do ogólnoludzkich wartości zawartych w micie wyzwoleniczej walki przypłacili życiem. Pointa polskiej historii rodzinnej.

„Kamienie na szaniec” są w tej historii kropką nad i. Złudzenie „podstawowych wartości” pryska jak bańka mydlana, kiedy dochodzi do konfrontacji z innym zza murów getta. Pozostaje polski mit dla Polaków, dzisiaj już



nie do przyjęcia. Zamiast niego „Festung Warschau” podsuwa rozpoznanie mechanizmów kultury. Pozwala zrozumieć, co właściwie mówią takie miejsca Warszawy jak ginąca wśród drzew część dawnych Nalewek. A tam widoczne stają się związki patriotyzmu z dyskryminacją i niemożność pogodzenia myślenia kategorią narodu z otwarciem na innych.

Historia zintegrowana

Spacer po dawnym getcie uzmysławia, że historia Żydów istnieje w przestrzeni miejskiej na szczególnych zasadach. Nie ma nawet statusu jednego z wielu wątków historii Polski. Jej upamiętnienia otaczane są znakami, które mają jej nadać przewidziany przez większość sens. Tak jak na osi muranowskiej: na lewo Umschlagplatz, na prawo pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. To nie przypadek, że w sercu przedwojennej dzielnicy żydowskiej umieszczono upamiętnienie komunistycznych zbrodni, bo przecież w Kaplicy Katyńskiej powstającego kościoła Opatrzności Bożej znalazł się hitlerowski plakat, na którym zakrwawieni NKWD-ziści z żydowskimi twarzami rodem ze „Stürmera” zabijają polskich oficerów. Mit żydokomuny tworzy narracyjną ramę dla historii polskich Żydów. Przypomina o ich rzekomej winie wobec Polaków i umieszcza w pozycji nielojalnych obcych. Stawia pod ścianą, szantażuje i odbiera głos. Wyznacza jedyne miejsce, z którego większość pozwala im mówić. Dodajmy, że do komunizmu odsyła nie tylko skwer Matki Sybiraczki (dawnej plac Muranowski), ale także skwer Księ-

dza Jerzego, „Męczennika za wiarę i ojczyznę” na Chłodnej czy skwer Sybiraków na tyłach kościoła św. Karola Boromeusza.

Włączenie historii Żydów do historii Polski nastąpi dopiero wtedy, kiedy obok głosu grupy dominującej pojawią się także głosy mniejszości. I to takie, z których dowiemy się, co dyskryminowani myśleli o kulturze większościowej i jak ją oceniali, jak doświadczali dyskryminacji, jak widzieli jej mechanizmy, także te z głównego nurtu. Obraz, który się z nich wyłoni, nie będzie przyjemny. Co więcej, będzie wymagał realnej i poważnej odpowiedzi. Przemyslenia, rewizji, a w końcu zmiany obowiązujących wzorów kultury i norm zachowania. Po prostu zaprzestania dyskryminacji.

Dopiero wtedy mniejszości wejdą do polskiej historii jako jej równoprawni uczestnicy. Z własnym głosem, własną perspektywą i własnymi ocenami. Piotr Kosiewski w „Tygodniku Powszechnym” zarzucił Elżbiecie Janickiej, że „dominująca polska większość została ustawiona w pozycji innego”. Nieoczekiwana zamiana miejsc? Spojrzenie z zewnątrz? Tak, o to właśnie chodziło. To się nazywa równouprawnienie. Trzeba się powoli przyzwyczajać.



Elżbieta Janicka, „Festung Warschau”, Krytyka Polityczna, 400 5.

Teatralna kato-aborcja



TOMASZ PIĄTEK
Autor felietonu
jest pisarzem

Papuga Zebek od pewnego czasu próbuje dokonać niemożliwego: co minutę zmienia płęć i w momencie zmiany (w tym ułamku sekundy, gdy jeszcze jest samcem, a już zaczyna być samicą) próbuje sama się zapłodnić. Co ciekawe, w fazie męskiej zmienia upierzenie na smoliste, węglowo-czarne. W pierwszej chwili uznałem, że Zebek chce być płodnym górnikiem i pomyślałem z sympatią o prorodzinnym, pracowitym Śląsku, ale potem zobaczyłem naokoło jego czarnej szczyt białą obwódkę, wyglądającą zupełnie jak koloratka. Śląski ksiądz, który zapładnia? – zadałem sobie pytanie i wszystko stało się dla mnie jasne. Zebek po prostu reaguje na to, co stało się w Zabrzu.

Teatr Nowy w Zabrzu wystawił spektakl pod tytułem „Nieskończona historia”. Kierownictwo teatru otrzymało trzy e-maile od widzów, którzy stwierdzili, że spektakl obraża ich uczucia religijne i estetyczne. Zażądali zmian w przedstawieniu. Dyrektorzy mieli do wyboru dwie opcje. Opcję „Kosz” albo opcję „Spam”. Wybrali niestety trzecią: zażądali, aby autorzy spektaklu podporządkowali się żądaniom widzów. Zapewne dlatego, że autor jednego z e-maili wysłał jego kopię do kurii diecezjalnej.

Trzeba odnotować ten niezwykle sukces polskiego teatru: w Zabrzu zostały zrealizowane najśmielsze marzenia wielkich artystycznych wizjonerów i teoretyków. Teatr Nowy stał się teatrem interaktywnym! Widzowie mogą dowolnie wpływać na kształt przedstawienia, oczywiście pod warunkiem, że odwołają się równocześnie do kurii diecezjalnej. To sprawia, że ten supernowoczesny teatr interaktywny jest zarazem z ducha głęboko polski, swojski, nasz.

Niestety, przy okazji wyżej opisanej interakcji doszło do przykrego zgrzytu. Jedna z bohaterki spektaklu jest w ciąży, w związku z tym widzowie zażądali, żeby w ciąży nie była, bo ktoś mógłby pomyśleć, że ojcem płodu jest duchowny. Nie wnikałmy w logikę tych obaw, bo mogłoby nas to za daleko zaprowadzić, skoncentrujmy się na szokującym fakcie: proszę państwa, katolicy widzowie przy wsparciu kurii diecezjalnej zażądali, żeby usunąć ciążę. Co prawda, usunąć tylko z przedstawienia, ale i tak budzi to konsternację. Jakiegolwiek usuwanie ciąży jest niedopuszczalne, a co dopiero pod wezwaniem kurii. I chyba nie powinno mieć znaczenia, że chodzi o ciążę spowodowaną przez księdza, a dokładniej o ciążę, którą hipotetycznie mógłby spowodować ksiądz.

I ta właśnie ingerencja najbardziej zdenerwowała Zebka, który za pomocą swojego performance'u postanowił udowodnić, że ksiądz jak najbardziej może i powinien zapładniać, nawet samego siebie.

– Zebku – powiedziałem. – Niepotrzebnie się tak męczysz. Nie musimy protestować przeciwko zmianom w spektaklu, możemy sami wprowadzić nasze! Skoro Teatr Nowy w Zabrzu jest teatrem interaktywnym, wystarczy, że wyślemy kilka e-maili. Na stronie internetowej teatru dyrektorzy Jerzy Makselon i Zbigniew Stryż przeczornie nie podali swoich adresów e-mailowych, ale oto inne ważne adresy: Kierownik Literacki

Beata Dąbrowiecka-Wilczok, dbabrowiecka@teatrzabrze.pl, Kierownik Biura Promocji i Organizacji Widowni Edyta Stronk, estronk@teatrzabrze.pl i nie zapomnijmy też o kurii diecezjalnej: kuria@katowice.opoka.org.pl! To jej mistyczne tchnienie uruchamia interaktywność zabrzańskiego teatru, to za sprawą jej czujnego wzroku dyrektorzy stają się czuli na żądania widzów, wyślijmy zatem do kurii kopię naszego e-maila!

Zapraszam wszystkich czytelników, aby przyłączyli się do naszej (mojej i Zebka) akcji. Piszmy e-maile do teatru i do kurii: „Protestujemy przeciwko katolickiej aborcji dokonywanej w Teatrze Nowym przy współudziale kurii diecezjalnej. Domagamy się, żeby aktorka była w ciąży. I nie zaspokoi nas wsadzony pod jej sukienkę jasiek. Jako prawdziwi Polacy, przywiązani do prawdziwie polskich wartości, żądamy, żeby to była ciąża prawdziwa. Niech aktorkę ktoś naprawdę zapładni. Najlepiej właśnie ksiądz, bo wtedy będzie to ciąża święta. Niech ksiądz zapładni aktorkę, a przy okazji wszystkich innych aktorów biorących udział w spektaklu, a także rekwizyty. To dodatkowo uświęci całe przedstawienie. Niech wśród zapłodnionych rekwizytów będą wypchane nutrie, bo one wyjątkowo potrzebują świętości. Tego domagamy się my, oburzeni Polacy, widzowie i niewidzowie spektaklu. Bardziej niewidzowie niż widzowie. Niewidzowie nie tylko spektaklu, ale w ogóle czegokolwiek. Niewidzowie niczego”. Tak brzmi mój list, ale zachęcam czytelników do kreatywności. Napiszcie władzom teatru wszystko, co o nich myślicie.

– I jak ci się podoba nasz liścik Zebku? – zapytałem papugę, która właśnie się zapłodniła.

– Zrób mi klatkę z kolczastego drutu – odpowiedział Zebek. – Klatkę Kolczastej Prawdy.



Ja tylko stałem na bramce

Adam Adach na Euro 2012 wystawi swoją „Reprezentację”. Co ma do powiedzenia o piłce nożnej artysta, który od 30 lat nie był na meczu?

JACEK TOMCZUK

Jestem słaby w wynikach, składach, ligach – wyznaje Adam Adach, rocznik 1962. – Raczej tropię społeczne i polityczne konteksty, jakimi obrasta futbol. Zaczęłem prace nad wystawą, analizując modernistyczną utopię, w której sport w latach 20., 30. XX w. służył poprawie warunków higieniczno-zdrowotnych biedniejszych grup społecznych. Z drugiej strony interesował mnie totalitarny pragmatyzm, użycie idei sportu do poprawiania rasy, kiedy ćwiczenia fizyczne były praktyką samodoskonalenia, treningu nie tylko ciała, ale i psychiki. W końcu jednak skoncentrowałem się na złożoności mitu założycielskiego narodowej ekipy piłki nożnej.

Kiedy opowiada o nowych obrazach, częściej wymienia nazwiska filozofów niż zawodników czy trenerów. Georges Didi-Huberman, Walter Benjamin, Giorgio Agamben, Michel Foucault, Guy Debord, Jacques Ranciere biorą górę nad wirtuozami piłki. Z całej historii polskiego futbolu wybiera tylko dwie postaci i wokół nich buduje przesłanie „Reprezentacji”, wystawy, którą otworzy 21 kwietnia w warszawskiej galerii BWA, naprzeciwko Stadionu Narodowego.

Żyd i Ślązak reprezentują Polskę

Józef Klotz wiosną 1922 r. strzelił pierwszą w dziejach bramkę dla reprezentacji Polski (w 23. minucie trafił z rzutu karnego, pokonał Szwecję 2:1). Był zawodnikiem pocho-

dzenia żydowskiego, grał w drużynie Makabi Warszawa. W 1941 r. zginął w getcie warszawskim. Ernest Wilimowski to najwybitniejszy polski piłkarz okresu międzywojennego. Pochodził ze Śląska, w czasie wojny podpisał volkslistę, przez polskie podziemie został uznany za zdrajcę. Występował w barwach III Rzeszy, a po 1945 r. grał w klubach niemieckich. Adach pokaże doskonale portrety obu piłkarzy, niewielkie, niemal osobiste. – To rodzaj przewrotnego przypomnienia dla wszystkich, którzy jeszcze wierzą, że tylko rdzenni Polacy mogą reprezentować polską piłkę. No bo jak to? Żyd strzelał bramki dla Polski? – mówi. – Wydaje się, że nastąpiła diametralna zmiana praktyki uprawiania sportu grupowego. Widowisko stało się rozgryw-

ką globalną, ponad tożsamością grupową czy nawet narodową.

Dwuznaczność tłumu

Adach przyznaje, że nigdy nie rozumiał piłki nożnej. – Mówiąc szczerze, nawet nie wiedziałem, w którą stronę trzeba biec. Całe szczęście, że gdy graliśmy w piłkę, koledzy stawiali mnie na bramce. Jednak bardzo lubiłem ten rodzaj męskiej solidarności, kiedy z bratem i ojcem oglądaliśmy razem transmisję z meczu. Nawet zabrali mnie parę razy na stadion – wspomina.

Właśnie ten element męskiej solidarności w tłumie zajmuje go dziś. Namalował dwa monumentalne płótna przedstawiające Zyletę, trybunę najbardziej oddanych fanów warszawskiej Legii. Tłum kibiców u Adacha jest niepokojący, kipiący agresją, anonimowy. Ale też uwodzący. Malarz uwzniośla tłum pónagich mężczyzn, nasycy erotyką. Te obrazy mogłyby powstać na podstawie zdjęć Leni Riefensthal. – Oczywiście z punktu widzenia historycznego nie ma związku między footbolem a faszyzmem. Ale jeśli prześledzimy ich historię, zauważymy przerażające zbieżności między „Forza Italia” na stadionie, okrzykami w amfiteatrze starożytnego Rzymu i faszystowskim „Duce Duce” – mówi malarz. – Dla mnie ta masa ludzi na stadionach jest dwuznaczna. Można spojrzeć na nią jako na przerażającą siłę. Z drugiej, co zauważył już Piero Pasolini, który sam grał w piłkę, to anarchistyczny element oporu wobec władzy. Ten drugi aspekt ujawnił się ostatnio w Polsce – Tusk musiał się z kibicami liczyć.

Historia jako broń

Malarstwo Adama Adacha krąży wokół zagadnienia pamięci – zarówno tej społecznej, historycznej, jak i osobistej. Wspomnienia z dzieciństwa sąsiadują z nawiązaniem do doświadczeń zbiorowych. Inspiracją dla malarza były anonimowe fotografie, wycinki z gazet, ilustracje w książkach. Krytycy mówią o nim: malarz historii, ironista zmęczony obowiązkiem pamiętania. – Bzdura. Cechą bycia współczesnym jest łączenie tego, co przetrwało z przeszłości, z teraźniejszością. To jedyna droga, by uciec z dzisiejszego społeczeństwa spektaklu, splaszczającego rzeczywistość do wiecznego „teraz” – deklaruje.

Wierność historii widać też w samej technice malarskiej. Dwóch młodych graczy ćwiczy wieczorem na Orliku. Jeden zaciągnął koszulkę na głowę, drugi leży na murawie. Całość wygląda jak współczesna „Guernica” Picassa połączona z malarstwem informel. Destrukcyjność postaci spotyka się z gwałtownością gestu

malarskiego. „Malewicz hooligans” to nawiązanie do klasyki rosyjskiej awangardy. Tyle że zamiast czerwonej kawalerii Adach maluje policjantów biegnących spacyfikować huliganów. Grupa gejów grająca nago w piłkę nosi tytuł „Incarnata” (ucieleśnienie) i nawiązuje do ważnego tematu w refleksji malarskiej na przepis. Ile cynobru, bieli i błękitu należy wymieszać, by powstała farba najodpowiedniejsza dla namalowania ciała świętej czy grzesznika?

Poza schematami

Ojciec Żyd ateista, matka – gorliwa katoliczka. W domu religia była oficjalnie zabroniona. Wyjechał z Polski w połowie lat 80. jako wykwalifikowany weterynarz. – Bezład stanu wojennego doprowadził mnie do szału. Do tego w wojsku zginął mój brat. Nie mogłem zdawać na ASP – wspomina.

Żeby dostać paszport, zapisał się na pielgrzymkę do Rzymu („Na papieża paszport dawali”), ale w końcu trafił do Paryża. – Na początku studiów artystycznych przyciągnęła mnie bogata rodzina arystokratyczna. Żyłem w dwóch światach. Z jednej strony pałace, zamki, służba. Z drugiej – koledzy ze studiów, punki, anarchiści, radykalni lewacy. Taki jest właśnie status artysty, który nie należy do jednego środowiska, musi wychodzić poza schematy – deklaruje.

Na wystawie dyplomowej pokazał portrety osób seropozytywnych, zestawione z martwymi naturami, np. jabłkiem, które draży robak. Pracę odczytano jako mocny, lecz niedosłowny komentarz do szalejącej epidemii AIDS. Ich wanitatywny przekaz spodobał się głównie w prasie prawicowej. – Środowisko progresywnych artystów niemal w 100

proc. zbliżone jest do lewicy, zresztą ja też. Kiedy więc pokazywałem wycinki z „Le Figaro” o sobie, krytycy, kuratorzy krzywili się, raczej uznawali je za wilczy bilet. Absurd – wspomina. Przez ponad 10 lat prowadził w Paryżu i Londynie warsztaty plastyczne z upośledzonymi. – Kochałem te zajęcia, dostawałem od tych ludzi dużo więcej, niż im dawałem. W pewnym momencie nastąpiło jednak przesilenie – opowiada.

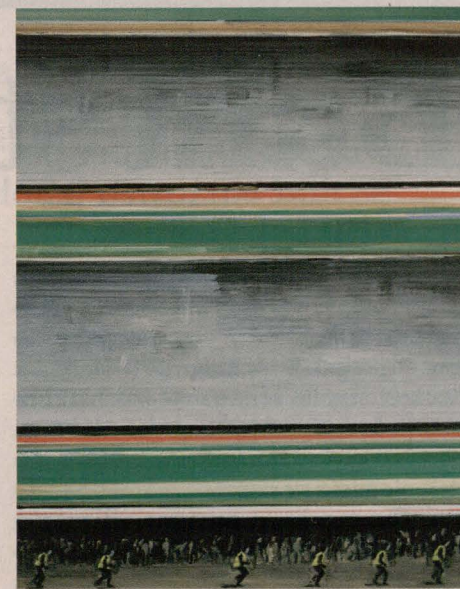
Jedną z jego podopiecznych, całkowicie sparaliżowana, popełniła samobójstwo. Potem na zajęciach plastycznych młoda dziewczyna cierpiąca na schizofrenię zaczęła beznamietnie opowiadać ze szczegółami, jak przez wiele lat była wykorzystywana seksualnie przez swego dziadka, potem wujka. Po chwili jego asystentka zaczęła lkać, że ją z kolei gwałcił ojciec. Jak by tego było mało, parę dni później jego 17-letni uczeń, umysłowo upośledzony głuchoniemy, wybiegł na ulicę i chciał rzucić się pod samochód. Malarz na środku autostrady przekonywał go w języku migowym, że warto żyć. – Nie wytrzymałem, musiałem dać sobie spokój – opowiada.

Jednak to doświadczenie było formujące dla postawy artystycznej Adacha: – Miałem wrażenie, że robię coś przydatnego dla ludzi, którzy są porzuceni, żyją gdzieś na marginesie. Po takich zajęciach nie wyobrażałem sobie, że będę malował po prostu ładne obrazy. Pracując z nimi, dotarłem do istoty sztuki. Zrozumiałem, że nie chcę jako twórca budować społeczeństwa spektaklu, być piewą zysku. Sztuka to jest przedstawienie ciemnych, niepewnych stron życia, trudnej przeszłości.

Krytyczny powrót

Po 20 latach spędzonych we Francji i w Portugalii wrócił do Polski. – Nie chciałem idealizować przeszłości jak stara emigracja, która gloryfikuje kraj dzieciństwa – mówi. – Poza tym nie udało się jej na obczyźnie, więc potrzebuje sił, by przetrwać, i znajduje je w historii. A ja poczułem, że muszę mieć prawo krytyki tego kraju, by móc w nim żyć. We Francji miałem dość glamouru, pojmowania sztuki jako mody. W Paryżu powstało Palais Tokyo, które miało być centrum sztuki współczesnej. I po paru tygodniach organizuje się tam pokaz szminek i pomadek. Wiem, że w Polsce termin „sztuka krytyczna” jest zarezerwowana dla artystów pokroju Artura Żmijewskiego. Ale dobra sztuka zawsze jest krytyczna. Dla czego nie może nią być malarstwo? ●

Adam Adach, „Reprezentacja”, BWA Warszawa, ul. Jakubowska 16/3, wystawa czynna od 21 kwietnia



MARTA KARAŚ
ILONA WITKOWSKA

Ponury absurd, czyli obowiązująca ustawa o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, jest niczym więcej jak manifestem tchórzostwa i obłudy. Nazywanie jej konsensusem jest zwyczajnym kłamstwem, chyba że mówi się o konsensusie między prawicą a Watykanem. Większość polskiej klasy politycznej zgrupowana jest niepokojąco blisko kruchty. Politycy jak ognia unikają konfrontacji z Kościołem katolickim w tak zwanych sprawach światopoglądowych. W efekcie grupa beżennych panów w średnim wieku pośrednio decyduje, co i w jakich okolicznościach jest legalne, a co absolutnie nie.

Nie jest tajemnicą, że w Polsce dokonuje się, według szacunków Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, od 80 do 190 tys. nielegalnych aborcji rocznie. Usługa medyczna, za którą kobiety płacą przeszło 300 mln zł rocznie, pozostaje więc poza jakąkolwiek kontrolą i jurysdykcją. Na szczęście ostatnie tygodnie pokazały, że są w Polsce osoby, które nie boją się publicznie zabrać głosu w tej sprawie. Witamy u progu buntu starych kobiet.

Piewczynie cywilizacji śmierci

W byciu starą kobietą najlepsze jest to, że można w końcu mówić, co się myśli, praktycznie bezkarnie. Przekroczenie smugi cienia zwalnia z obowiązku podporządkowania się panującym normom politycznej poprawności w trosce o mityczne dobre imię. Zarzucano Czubaszek i Mazurównie chęć wypromowania się na kontrowersyjnym temacie. Wydaje się, że jest wręcz odwrotnie. Stare kobiety mogą wykrzyskać już zdobytą popularność do mówienia o sprawach, o których młodszy milczą.

„Mam trójkę świetnych dzieci i kocham je ponad wszystko, ale ujrzały światło dzienne wtedy, gdy o tym z pełną świadomością zdecydowałam. Krótko mówiąc, uważam, że dzieci powinno się rodzić tylko wtedy, gdy są upragnione (...), a nigdy nie w wyniku przypadku, mniej lub bardziej nieszczęśliwego” – mówi Krystyna Mazurówna w wywiadzie dla „Dziennika”. Trudno nie zgodzić się z tym stwierdzeniem. Tancerka i choreografka proponuje demokratyczne odwołanie się do głosu wszystkich obywateli – rozpisanie referendum w sprawie legalizacji zabiegów przerywania ciąży. „Dziennik” nazwał swą rozmówczynię „babcią buntowniczką”.

Wypowiedź Mazurówny poprzedził głośny wywiad z Marią Czubaszek w Radiu Zet. Teraz



Bunt starszych pań

nad jej decyzją o aborcji podjętą 50 lat temu, kiedy usunięcie ciąży było w Polsce w pełni legalne, pochyla się pełen przekrój społeczeństwa: od posłanki Beaty Kempy po taksówkarza. Pisarkę straszy się, że na starość szklanki z herbata nie będzie miał jej kto podać. Ludziom, którzy tak dbają o komfortową starość Czubaszek, nie mieści się w głowie, że ktoś przedkłada możliwość stałej aktywności zawodowej nad otrzymywanie z rąk potomków płynu w okresie nieuniknionego starczego zniedołężnienia.

Oświadczenie samej zainteresowanej, że kiedy nie będzie w stanie samodzielnie wziąć sobie wody, planuje popełnienie bezbolesnego samobójstwa, tylko ją w oczach prawicy pogrąża, czyniąc z niej piewczynię cywilizacji śmierci. Tymczasem ona mówi: „Jestem absolutnie za tym, żeby dzieci się rodziły, podziwiam matki, ale jestem za macierzyństwem świadomym i odpowiedzialnym”. Nie jest ono możliwe, dopóki kobietom nie daje się prawa wyboru.



Maria Czubaszek i Krystyna Mazurówna wykorzystują swoją popularność do mówienia o sprawach, o których młodszy ostrożnie milczą

Szczebiot sexy mamy

Poglądy rządzącej opcji promuje na masową skalę na przykład królowa polskich seriali Ilona Lepkowska. W swoich scenariuszach pokazuje usunięcie ciąży jako skrajną aberrację. Bohaterki, które się na nie decydują, nie mają później łatwego losu, zgodnie z zasadą, że każda zbrodnia zasługuje na karę. Te przekonania telewizja transmituje od poniedziałku do czwartku sześciomilionowej widowni „Barw szczęścia”. O tym, że jest to propaganda pewnych postaw,

a nie odbicie odczuć społecznych, mogą świadczyć wyniki raportu z badań o karalności aborcji przeprowadzonych przez naukowców z Uniwersytetu w Maryland w 18 krajach, w tym w Polsce. 66 proc. polskich respondentów opowiada się za prawem każdego obywatela do podjęcia indywidualnej decyzji o aborcji, 16 proc. jest za rezygnacją z sankcji karnych i aktywnością państwa jedynie w obszarze zniechęcania do aborcji. Jedynie 6 proc. chce utrzymania sankcji karnych. Można wnioskować, że

proponowane przez „babcię buntowniczkę” badanie społeczne przyniosłoby efekty dla tak zwanych obrońców życia druzgoczące.

Mazurówna i Czubaszek stanęły w kontrze do obecnej w mediach propagandy macierzyńskiego sukcesu. Szczebioczące w telewizjach śniadaniowych młode matki – aktorki, piosenkarki, modelki – oraz prezentowane na okładkach ciążowe brzuchy tworzą obraz krzywdząco uproszczony. Wzorec sexy mamy nie jest możliwy do zrealizowania przez te, których nie stać nie tylko na trzy nianie i osobistego trenera, ale nawet na żłobek.

System opresji działa na kobiety w dwóch podstawowych sferach: ekonomicznej oraz kulturowej. Świat telewizyjnych poranków buduje w swych odbiorczyńach przekonanie, że każda kobieta chce mieć dzieci, jeśli nawet nie teraz, to na pewno później.

Patriarchalna kultura nadaje kobiecie wartość, gdy ta staje się matką. W Polsce kobieta musi urodzić bądź złamać prawo, dokonując nielegalnej aborcji. Jak widać na przykładzie „babci buntowniczek”, nawet kiedy kobieta usunie ciążę legalnie, aborcyjny coming out nieuchronnie sprowadza na nią odium społeczne.

Dlaczego nasze dzieci interesują polityków tylko do momentu opuszczenia naszego ciała? Dlaczego interesują ich tym bardziej, im ciąża jest mniej zaawansowana? I dlaczego to zainteresowanie kończy się wręceniem jednorazowej zapomogi, która wystarcza zaledwie na 20 paczek pieluch? Szwedka przeciętnie rodzi 1,94 dziecka (piąte miejsce w Europie). Polki mają po 1,4 dziecka (24. miejsce). Ponad 80 proc. szwedzkich matek pracuje (czwarte miejsce w Europie). Aktywność zawodowa Polek to niewiele ponad 50 proc. Matka Polka nie dostaje satysfakcjonującego wsparcia ze strony państwa.

Jeśli państwo pragnie mieć więcej obywateli, powinno dbać o nich od chwili narodzin. Niestety, bardziej widowiskowa jest organizacja mistrzostw w piłce nożnej niż wydawanie pieniędzy na placówki kultury i edukacji. Orlik kosztuje około 1 mln zł, a na jeden wrocławski stadion wydano już przeszło 900 mln zł. Łatwo policzyć, że to 900 boisk dla upragnionych przez polityków dzieci.

Mazurówna wyznała, że choć jest wielbicielką Marii Czubaszek, to zalicza się też do „fanek Tuska”. Mamy nadzieję, że „babcia buntownicza” doczeka się wprowadzenia przez jego rząd prokobiecej polityki.

Autorki dziękują za pomoc w powstaniu artykułu Natalii Sawce z wrocławskiego KKP

Diana Domin/EAST NEWS

Michał Dembiński/FORUM



Jeżeli nigdy nie byliście punkami, to zechciecie nimi być po przeczytaniu „The Clash – ostatnia załoga na mieście” Marcusa Graya. Albo przynajmniej kupicie kilka płyt zespołu Joego Strummera i Micka Jonesa



Biblia myślącego punka

O ile Sex Pistols stworzyli punkowy image, to The Clash napelnili go treścią. W tym zespole lewicowe zaangażowanie polityczne było nie mniej ważne od samej muzyki. The Clash stali się symbolem upolitycznienia muzyki rockowej. Już pierwszy ich singiel „White Riot”, z marca 1977 r., nawoływał białych do ulicznych demonstracji z siłą, z jaką czynili to czarni obywatele. A w Wielkiej Brytanii przełomu lat 70. i 80. powody do buntu trudno zliczyć. Podziały rasowe i klasowe, bezrobocie, przemoc na ulicach i narkomania były zaledwie wierzchołkiem góry lodowej problemów, z którymi mierzyła się Anglia. Wspieranie klasy robotniczej, udział w politycznych strajkach i zamieszkach ulicznych, sprzeciw wobec rządów Jamesa Callaghana, a później Margaret Thatcher, solidaryzowanie się z ruchami wolnościowymi, stworzyły fundamenty ruchu punkowego jako szerokiego społecznie walczonego środowiska sprzeciwu.

„The Clash – ostatnia załoga na mieście” to wzorzec z Sevres muzycznych biografii. Nie tylko dlatego, że autor wykonał benedyktyńską pracę, przygotowując książkę przedstawiającą dzieje grupy oraz jej członków „od kołyski” aż po ostatnie lata ich solowej scenicznej aktywności (w przypadku Joego Strummera aż do śmierci w 2002 r., a w przypadku reszty muzyków do 2004 r.). Ważne jest to, że Gray niezwykle wnikliwie prześwieca jednych z najzdolniejszych ludzi w historii muzyki popularnej, którzy nie potrafili wykorzystać potencjału i talentu dłużej niż przez 10 lat trwania zespołu. Muzyków, którzy tylko otarli się o wielki sukces. Idealistów, którzy nie grali dla pieniędzy – jako pierwsi zdecydowali się wydać dwupłyto-

wy („London Calling”) i trzyplutowy („Sandinista!”) album w cenie jednego i popadli przez to w dług. A mimo wielu intratnych pro pozycji finansowych niereaktywowali zespołu. Współtworzyli lub zasilali później tak różne grupy jak The Pogues, Black Sabbath, The Mescaleros, The Good, the Bad and the Queen czy Gorillaz. Byli aktorami, producentami, malarzami, ale głównie pogubionymi samotnikami, którzy nie potrafili się odnaleźć w życiu poza The Clash.

Jednak muzyczny rynek zmienili na zawsze. Do ich wpływu na swoją twórczość przynajmniej dziś członkowie U2. Podobnie Martin Scorsese, Jim Jarmush, Johnny Deep, Matt Dillon, Steve Buscemi, John Cusack, członkowie Pearl Jam, Soundgarden, Red Hot Chili Peppers i wielu, wielu innych. The Clash stał się legendą, która dała światu co najmniej dwa wybitne krążki: „The Clash” (kanon surowej muzyki punk) i wspomniany „London Calling” (według magazynu „Rolling Stone” najlepsza płyta lat 80.).

Szczęśliwie Gray pisząc przez 10 lat biografię zespołu, nie stworzył hagiografii. Demaskuje mity, które muzycy sami wokół siebie tworzyli. W tej dziedzinie przodował lider grupy Joe Strummer. Nie wywołał się z klasy robotniczej i nie miał beznadziejnego dzieciństwa, jak przedstawiał w wywiadach, ale pochodził z dobrze sytuowanej rodziny. Jego ojciec był urzędnikiem brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a sam Joe chodził do prywatnych szkół. Żeby nie stracić pozycji ulicznego rebelianta, przedstawiał czas edukacji jako nieudany, a siebie jako ofiarę szkolnych prześladowań zaważając wszystkie egzaminy. Tylko „jakimś cudem” ukończył Epson Collage i uczęsz-

***** mistrzostwo ***** na piątkę
**** warto *** może być ** słabo * dno

czał do prestiżowego Central School of Art and Design, gdzie niełatwo można było się dostać... Strummer równie niezręcznie tuszował swoją bluesowo-hipisowską przeszłość, która nie miała wiele wspólnego z hedonizmem punka. Na wczesnym etapie kariery zmienił imię (naprawdę nazywał się John Graham Mellor – przyp. J.N.) na Woody – był bowiem pod wpływem guru zaangażowanej muzyki folk Woody'ego Guthrie'ego. Kiedy przestał grać bluesa i rockabilly, postanowił przedstawiać się jako zwykły chłopak. Tak narodził się Joe Strummer (Brzdąkający Joe). Również swój wiek lider The Clash uznał za problem. W pierwszych wywiadach 27-letni „lamus” twierdził, że ma 22 lata. Kolejną wielką mistyfikacją było powoływanie się na rodzinne więzy z liderem The Who Petem Townshendem. Joe utrzymywał, że grał na podarowanej przez niego gitarze, co miało symbolizować pokoleniowe przekazanie muzycznej pałeczki. Gray z detektywistycznym zacięciem Sherlocka Holmesa rozprawia się z każdym kłamstwem Strummera. Oczywiście przygląda się także innym członkom zespołu.

Biografia The Clash pełna jest interesujących przewrotnych anegdot, pokazujących, jakimi charyzmatycznymi osobowościami byli jej członkowie. Ale nie tylko. „Interesuje mnie wyłącznie osobista wolność” – powiedział w jednym z wywiadów Strummer. Nie ważne, który to był rok, miesiąc i dzień. Był temu wierny do feralnego 22 marca 2002 r., kiedy „pekło” mu serce. W tym samym roku zmarła inna ikona punk rocka Dee Dee Ramone. Sex Pistols dla pieniędzy wznowili kolejny raz działalność, pozostając kserem z ksera samych siebie sprzed lat. Pop punk w stylu Blink 182 czy The Offspring dokonywał właśnie żywota na listach przebojów. A Green Day, „punkowcy” trzeciej generacji, wystawiali właśnie rock operę „American Idiot”. O tym wszystkim nie zapomina Gray – „Ostatnia załoga na mieście”, to zatem biblia punk rocka, pokazująca narodziny, rozkwit i upadek nie tylko The Clash, ale i pierwszej fali punka, który był jeszcze pozbawiany drugiego członu „rock”.

W jednym z ostatnich wywiadów Joe Strummer zapytany, jak go podpisać, odpowiedział: „Wojownik punk rocka”. Książka Graya jest o ostatnich wojownikach muzyki rockowej, którym chodziło o coś więcej niż tylko popularność i pieniądze czy sex, drugs i rock'n'roll.

JACEK NIZINKIEWICZ



Marcus Gray, „The Clash – ostatnia załoga na mieście”, przeł. Grzegorz Kuśnierz, Kagra, 780 s.

Kafka i łobuz

Czy to wypada, by autor „Przemiany” okazywał się w listach poniekąd normalnym facetem?



O Franzu Kafce wiemy już to i owo. Na przykład to, że „Proces” niekoniecznie wyglądał tak, jak zaprezentował go światu Max Brod (za to, że go ocalił i zaprezentował jakkolwiek, świat winien jest mu zresztą wieczną wdzięczność), i że być może był to w autorskiej intencji utwór wielce satyryczny. I tak dalej. A jednak gdy „widzimy” Kafkę „przed oczyma duszy”, bodaj najczęściej jawi się nam on w postaci reproduktora na milionach koszułek i kubków kanoniczno-turystycznego wizerunku przerażonego odmienca z nietoperzowymi uszyskami. Nieleudwie „glodomora” z jego własnego genialnego opowiadania.

Cóż, wiadomo, że był także taki, ale był i inny. Na okładce polskiego wydania potężnego zbioru listów Kafka wesoło się uśmiecha, lecz jeszcze bardziej wymowne jest zdjęcie ze strony 481, na którym pisarz wdzięcznie wyciągnięty na trawie w gronie współpensjonariuszy sanatorium w słowackich

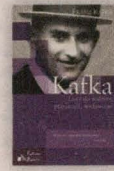
Matlarach patrzy w obiektyw pewnie i zalotnie, jak łobuz, który z niejednego pieca chleb jadł i w niejednej alkoce buszował. A nie są to czasy mniej czy bardziej beztroskiej wczesnej młodości, lecz wiosna lub lato roku 1921, gdy Kafce, już choremu i bezskutecznie się kurującemu, pozostały trzy lata do śmierci.

Kto chce wiedzieć o autorze „Zamku” tak zwane „wszystko”, będzie studiował te listy do wielu adresatów kartka po kartce, porównując z równoległymi zapisami w „Dziennikach” czy grupami listów do Mileny Jesenskiej, Felicii Bauer czy ojca, od dawna dostępnymi w polskich wydaniach. Nie będzie to niewątpliwie czas stracony, choć nie można takiemu czytelnikowi przyobiecać nieustannej lekturowej ekscytacji. Można jednak z powodzeniem czytać Kafkę epistolografa na wrywki, wzruszając się, weseląc i smucąc tym, co wypisuje.

Bo czyż nie uroczy jest liścik do Maksa Broda, który w opublikowanej w 1907 r. recenzji równuje Kafkę, jeszcze przed jego debiutem, z ówczesnymi gwiazdami: Henrykiem Mannem, Wedekindem i Meyrinkiem? Franz komentuje, że dzięki tej recenzji zazna teraz sławy, ale głównie w niemieckich koloniach, bo tylko tam zostanie przeczytana uważnie i do końca, albowiem „opuszczony Niemiec (...) czyta swoje pismo od deski do deski. Ośrodkami mej sławy są więc Dar es-Salaam, Udżidzi, Windhuk”. I dodaje: „Ale właśnie by ukończyć tych raptownie zainteresowanych (to piękne: farmerzy, żołnierze), powinien być jeszcze dopisać w nawiasie: »To nazwisko będzie trzeba zapomnieć«”.

I czyż trochę nie przeraża o rok późniejszy list do tegoż Broda, w którym czytamy: „(...) muszę tak usilnie szukać kogoś, kto mnie serdecznie dotknie, że wczoraj byłem z prostytutką w hotelu. Jest za stara na melancholie, sprawia jej tylko przykrość, nawet gdy się nie dziwi, że dla prostytutek nie jest się tak miłym jak dla kochanki. Nie pocieszyłem jej, bo i ona mnie nie pocieszyła?”

No i tak to było i jest. Kto nas teraz pocieszy?
MARCIN SENDECKI



Franz Kafka „Listy do rodziny, przyjaciół, wydawców”, wybór, przekład i komentarz Robert Urbański, współpraca Anna Urbańska, W.A.B., 544 s.



Gry i zabawy dziewczęce

Złe nastolatki to temat nienowy, a reżyserka „She Monkeys” ledwo to zło naszkicowała

Trochę już było w kinie opowieści o dwóch nastolatkach, które stymulują się nawzajem do robienia brzydkich rzeczy. Można tu przypomnieć „Niebiańskie istoty” Petera Jacksona z Kate Winslet w roli głównej, rodzime „Cześć, Tereska!” oraz „Galerianki” czy – pokazywane niedawno na naszych ekranach – niemieckie „Lolipop Monster”. Najbardziej oryginalnym elementem debiutu Lisy Aschan (swoją drogą, dlaczego szwedzki film chodzi w Polsce pod angielskim tytułem?) jest fakt, że fabuła rozgrywa się w środowisku... zawodniczek woltyżerki.

Emma (Mathilda Paradeiser) rozpoczyna treningi z grupą dziewczyn przygotowujących się do ważnych zawodów. Zaprzyjaźnia się z Cassandrą (Linda Molin), od której różni ją niemal wszystko: wygląd, temperament, osobowość... Ich więź zdaje się mieć sadomasochistyczny charakter. Pozornie stroną dominującą stanowi tutaj aktywna i pobudliwa Cassandra – prowokuje bowiem różne sytuacje, w które jej przyjaciółka wchodzi „jak w masło”. De facto jednak to właśnie Emma – zamknięta w swym milczeniu i uporze – bierze w tym związku górę. O co toczy się gra? Czy chodzi w niej o sportową rywalizację? A może o lesbijską fascynację?

Relacja między bohaterkami jest zaledwie naszkicowana. Najwyraźniej Achan (także współautorce scenariusza) brakowało pomysłów, jak ją rozwinąć i w którą stronę poprowadzić. Film trwa 84 minuty, ale robi wrażenie rozciągniętej w czasie etudy. Wątki poboczne – choćby ten z odkrywającą swoje ciało małą siostrą Emmy, w którym pobrzmiewają pedofilskie sugestie – wyglądają, jakby zostały wstawione przede wszystkim po to, by wydłużyć metraż. Niewiele z nich wynika. Natomiast puenta głównej opowieści nadchodzi zbyt pośpiesznie i też nie wypada przekonująco. Cóż, widziałem w kinie znacznie lepsze złe nastolatki.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„She Monkeys”, Szwecja 2011, reż. Lisa Aschan, Solopan – 84', premiera 20 kwietnia

BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Puszkina, Gogol i Czechow dla dzieci

Baśnie rosyjskie są po prostu piękne. W jedynym w swoim rodzaju stylu przekazują proste prawdy o świecie

Wiek XIX to czas niespotykanego w dziejach triumfu baśni. Wtedy powstały takie arcydzieła jak „Królewna Śnieżka” Grimmów, „Królowa Śniegu” Andersena, „Dziadek do orzechów” Hoffmanna, „Pinokio” Collodiego, „Alicja w Krainie Czarów” Le-

wisa czy „Bajka o carze Saltanie” Puszkina. Ta ostatnia zostaje właśnie przypomniana w świetnym wyborze baśni rosyjskich. Są tu także „Czarna kura” Pogorielskiego, „Kasztanka” Czechowa oraz „Jarmark w Soroczyńcach” i „Nos” Gogola.

W każdą sobotę w RdC (Polskie Radio dla Ciebie) autorka prowadzi program „BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA” – informacje o książkach dla dzieci i wywiady z ich twórcami

Wymowa tych opowieści jest charakterystyczna dla miejsca i czasu, w jakich powstawały. Wyrażają pochwałę pracowitości, skromności, uczciwości, odwagi – cech uznawanych za najważniejsze z dziecięcych, i w ogóle ludzkich cnót. Oczywiście dobro

ze złem zwycięża, a biedny, sielski, prosty dom okazuje się być lepszą siedzibą dla szczęścia niż wnętrza bogaczy.

Księga z rosyjskimi baśniami to również uczta dla oczu. Każda z pierwszych liter opowieści wpisana jest w ozdobny kartusz, zaś autorem wielkoformatowych ilustracji jest Spirin Gennadij. Rosjanin stworzył niepowtarzalny styl, łączący rosyjską tradycję ilustrowania bajek z mistrzowską techniką akwareli. Świat przez niego przedstawiany zapełniony jest przez tłumy ludzi, istot fantastycznych, zwierząt i ptaków. Widać, że artysta pozostaje pod wpływem sztuki renesansowej,

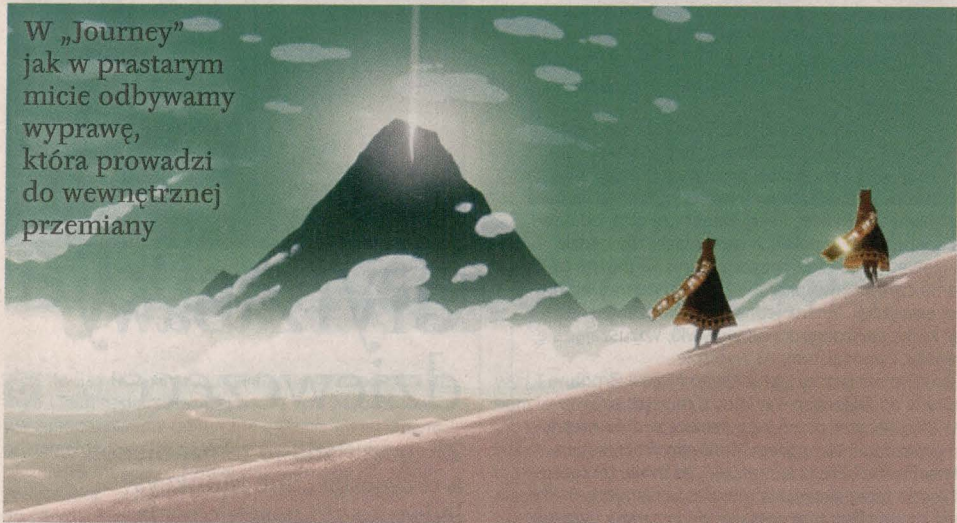
a zwłaszcza flamandzkich malarzy, jak np. Pieter Bruegel. Zachwyca nie tylko dzieci – prestiżowe Towarzystwo Ilustratorów w Nowym Jorku nagrodiło go złotym medalem za twórczość już pięciokrotnie.

MONIKA JANUSZ-LORKOWSKA



„Czarna kura. Baśnie rosyjskie”, tłum. Jan Brzechwa, Julian Tuwim, Jerzy Wyszomirski, Media Rodzina, 220 s.

Wyruszysz w podróż?



W „Journey” jak w prastarym miecie odbywamy wyprawę, która prowadzi do wewnętrznej przemiany

Wszystko zaczyna się na prażonej przez słońce pustyni. Jako bezimienna postać w orientalnym stroju nie wiemy, kim jesteśmy ani dokąd zmierzamy. Dostrzegając w oddali szczyt wielkiej góry, domyślamy się jednak, że on właśnie będzie celem podróży. Poszczególne etapy wirtualnej wyprawy wywołują coraz to nowe emocje: począwszy od zachwytu, chęci eksploracji pustynnych budowli i nauki latania, po empatię względem spotykanych na drodze uwięzionych latających istot, strach, smutek. Mamy także okazję nawiązać przyjaźń.

Tę ostatnią rozwijamy dzięki innowacyjnemu systemowi gry sieciowej. Podczas wyprawy spotykamy identyczną do naszej postać. W trakcie gry nie poznamy danych naszego kompana, możemy się z nim porozumiewać jedynie za pomocą indywidualnie przypisanego dźwięku, odpowiadającego jed-

nemu przyciskowi kontrolera. Jest to posunięcie genialne w swojej prostocie, bo prowokujące graczy do wytworzenia własnych sposobów komunikacji i nadające relacji posmak kruchości oraz niepewności.

Wspomniane emocje są kluczem do zrozumienia nie tylko „Podróży”, ale i poprzednich gier studia thatgamecompany. We „Flow” gracz jest pływającym w oceanicznych głębinach stworzeniem, a we „Flower” kieruje wiatrem unoszącym płatki kwiatów. Wszystkie gry cechują się charakterystycznym stylem narracji mającym prowokować zupełnie inne odczucia niż w przypadku wielu dużych produkcji nastawionych na rywalizację czy epatowanie przemocą.

Wyjątkowość „Podróży” polega także na tym, że nie uświadczymy podczas niej żadnych punktów

do zdobycia, tabel wyników, systemu rozwoju postaci czy innych znanych mechanizmów gier. Więcej – nie usłyszymy tu ani jednego wypowiedzianego słowa oraz nie przeczytamy liniiki tekstu. Zamiast tego podczas wyprawy towarzyszy nam zmieniająca się zależnie od otoczenia i naszych poczynań nagrana przez orkiestrę muzyka. Udźwiękowanie doskonale komponuje się z obrazem graficznym, która z jednej strony zachwyca minimalizmem, z drugiej – ogromną pieczołowitością detalu. Możemy tu podziwiać najpiękniejszy chyba jak dotąd wirtualny model piasku odbijającego zachodzące promienie słońca.

Co ciekawe, jedną z inspiracji do stworzenia „Podróży” – jak twierdzi Jenova Chen ze studia thatgamecompany – była książka Josepha Campbella „Bohater o tysiącu twarzy”. Campbell jest twórcą koncepcji monomitu – twierdził, że w opowieściach z całego świata są obecne te same motywy i sekwencje wydarzeń. Jednymi z nich są wyprawa i wywołana przez nią przemiana bohatera. „Podróż” jest właśnie taką archetypową opowieścią o bezimiennym bohaterze walczącym z przeciwnościami losu. Wrażenie uniwersalności historii i uczestnictwa w czymś pięknym potęgują fabularne niedopowiedzenia i operowanie metaforą.

Na koniec trzeba dodać, że gra jest prosta i bardzo krótka – za pierwszym razem skończyłem ją w niecałe trzy godziny. Nie o czas gry i poziom trudności tu jednak chodzi, ale o doświadczenie – tak inne i cenne w porównaniu do wielu innych tytułów nastawionych na powielanie schematów. Powiedzieć, że gry to dziedzina sztuki, jest już chyba truizmem, ale jeżeli ktoś jeszcze w to wątpi – niech czym prędzej wyruszy w podróż.

ADAM SZYMCHYK

thatgamecompany, „Journey”, Sony Computer Entertainment

Zmartwychwstanie legendy

Wskreszenie „Wingcommandera” to dowód, że to właśnie szaleni amatorzy tworzą gry na poziomie

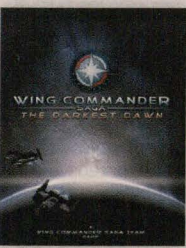
Wielbiciele symulatorów walk w przestrzeni kosmicznej nie mieli przez ostatnią dekadę łatwego życia. Tytuły, które w tym czasie powstały, zwykle wymagały od nich dużo samozaparcia. Pozostało tęsknie wzdychać za klasyką – cyklami „Wing Commander” i „Freospace”. Niejeden pewnie myślał, ile by dał za kontynuację jednej albo drugiej serii. Tak się składa, że nie musi dawać nic. Po 10 latach pracy gromadka szalonych (w najlepszym tego słowa znaczeniu) amatorów wydała właśnie darmową grę „Wing Commander Saga: The Darkest Dawn” – kolejną nieoficjalną część „Wing Commandera” przygotowaną na ulepszonym silniku „Freospace 2”.

Dawno minęły czasy, kiedy do darmowych gier trzeba było stosować porzekadło mówiące, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Ale ja i tak zakładam, że darmowy „Wing Commander” będzie ubogim krewnym swoich kosztujących grube miliony poprzedników – przecież za darmo da się zrobić kameralną przygodówkę, ale nie kosmiczny epos. Spotkało mnie wielkie zaskoczenie – „The Darkest Dawn” to „Wing Commander” pełną gębą. Skala bitew – imponująca. Grafika – niby oparta na „Freospace 2”, ale nieporównanie lepsza. Kolejne zadania (a jest ich 50!) – rozbudowane, zaskakujące, potrafiące i wciągnąć, i wzruszyć (długo nie zapomnę sceny, w której musiałem się bezradnie przyglądać zagładzie jeszcze przed chwilą bronionej przez siebie stacji kosmicznej z tysiącami ludzi na pokładzie). Nie najlepiej wypadają tylko animowane odprawy przed misjami, w których

wciąż powtarzają się te same postaci w tych samych sztywnych pozach.

Trzeba jasno powiedzieć, że „Wing Commander Saga: The Darkest Dawn” to najlepszy kosmiczny symulator od czasu „Freospace 2”. Koncern EA, zwykle zaborczo strzegący swoich marek, tym razem nie zaprotestował przeciwko wykorzystaniu świata „Wing Commandera” przez amatorów – i całe szczęście. Dzięki temu w pięknym stylu wskrzeszono legendę.

PAWEŁ SCHREIBER

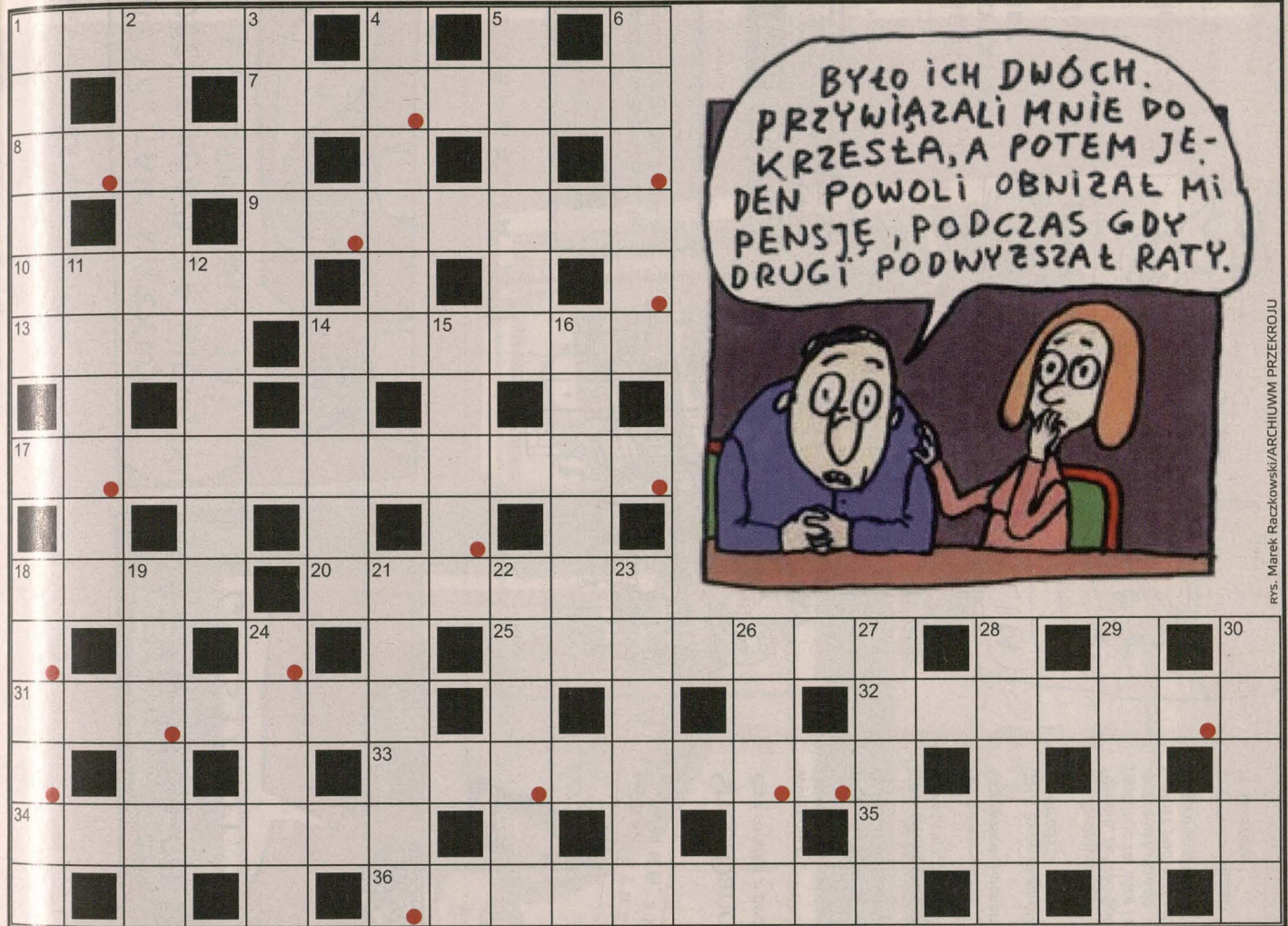


„Wing Commander Saga: The Darkest Dawn”, darmowy dostęp: www.wcsaga.com

ROZMAITOŚCI: KRZYŻÓWKA NR 16

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45



POZIOMO:

1. ZAWSZE JEST KON-
7. BOG KUBIE
8. BRAKUJE SIEDMIOR-
9. PODLEGA PRZEMIA-
10. FORTORA
13. BRAT KROWY

14. DAJE PRYSZNIC
17. KORECKI NA BOCZ-
18. DUCHA PRZEZ SAMO
20. HANDLUJE WĘGLEM
25. BEZPRAWIE I SPR-
- WIEDLIWOŚĆ

31. ORGANIZUJE POSIŁ-
32. PRZYPADKI ROBIN-
33. KIERUJE SAMOCHO-
34. REPREZENTACJA USA
35. PRACUJE NA CZARNA
36. SKAŁA Z WENUS

PIONOWO:

1. WYRAŻA SIĘ W CZASIE
2. WSZYSTKIEGO
3. Z ZAMKIEM W ZAMKU
4. JAZDA NA OKŁAP
5. PRZECHODZĄ PRZEZ ZEBRĘ
6. WYMIANA GŁÓW
11. KOBIETY KASPRZAKA

12. KAP NA ŁÓŻKO
15. WYLEWA SIĘ Z MISECZKI
16. MA DEPRESJĘ I JEST
18. LEGALNE KLUSOWANIE
19. WPRAWA JAZDY
21. LIONEL RYCZY
22. PIĘKNA MĘŻCZYZNA

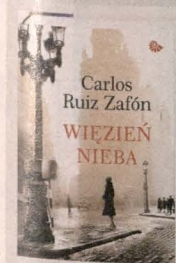
23. Z DYNASTII WAZONÓW
24. POŻĄDANA
26. WIEJSKA IZBA
27. CHŁOPAK W KAŻDYM
28. OWA CHOROBA
29. WYSTĄPIĄ NA EURO
30. TA NUTA WAŁĘSA SIĘ

ROZWIĄZANIE Z NR. 14

KRZYŻÓWKA: ZŁOTA STUDZIENKA

POZIOMO: 1. DRZESIEK – BOBAS 7. PIĄTE KOŁO U WOZU – ZĘBATKA 8. BEZKOŚCIOTRUP – MIĘSO 9. DUŻA CZARNA – SUTANNA 10. TO JESZCZE NIE DRAMAT – EPIKA 13. DAJE SŁOWO HONORU – ROTA 14. AKCJA ZAKOŃCZONA STRZAŁEM – ZAMACH 17. SKRZYPI NA DACHU – WIATROWSKAZ 18. W SAMOCHODZIE, A ZWŁASZCZA W AUTOBUSIE – TŁOK 20. NIESIONA NA RĘKACH PODCZAS STRAJKU W STOCZNI – OPASKA 25. KUCHARZ, KTÓRY DUŻO PIEPRZY – PARTACZ 31. EKSPRESOWE INFORMACJE – ROZKŁAD 32. PIĘĆ GRAMÓW – GARSTKA 33. LEŻY POD DOMEM – PODWAŁNA 34. ROSNĄ NA STOPIE – ODESETKI 35. OBIECAŁ, ŻE NAPRAWI PAŃSTWU – GWARANT 36. SZYBKI WZROST GOSPODARCZY – SZKLARNIA

PIONOWO: 1. TRZYMANY W DOMU NA PROCENT – BIMBER 2. WISI NAD WŁOCHAMI – BŁĘKIT 3. LECI NA SZCZECIN – SZOSA 4. ZWOŁOWA – ZBITKA 5. PASI SIĘ NA POLU – STONKA 6. WODZI ZA NOS – ZAPACH 11. SKUTEK PALENIA – POPIÓŁ 12. SMRÓD W GACIACH – KAJTEK 14. HERB POLSKI – ZIOŁO 15. JEDNA NA GŁOWĘ – MASKA 16. BLOND WARKOČZ MNIAM MNIAM – CHAŁKA 18. DZWIĘK W NIEMYM KINIE – TERKOT 19. SPRZEDA TWOJE MIESZKANIE – OSZUST 21. MATEJKO POD GRUNWALDEM – PODPIS 22. A ŁYŻKA NA TO – SPODEK 23. TRAFIONA ZATOPIONA – ARMADA 24. PO DESZCZU GO W BRUD – BŁOTO 26. UJMION – ANION 27. WYSTĘPUJE PO KOLACJI – ZGAGA 28. NIE DOROSŁ DO PIĘTR – KRZAK 29. DZWIĘGANY NA PLECACH DO SZKOŁY – ATLAS 30. SILNA GRUPA POD WEZWANIEM – KASTA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Wieżień nieba”. Cmentarz Zapomnianych Książek powraca w najnowszej, oczekiwanej przez miliony czytelników, powieści Carlosa Ruiza Zafóna, autora bestsellerowego „Cienia wiatru”. Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyslij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 16”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 22 kwietnia 2012. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

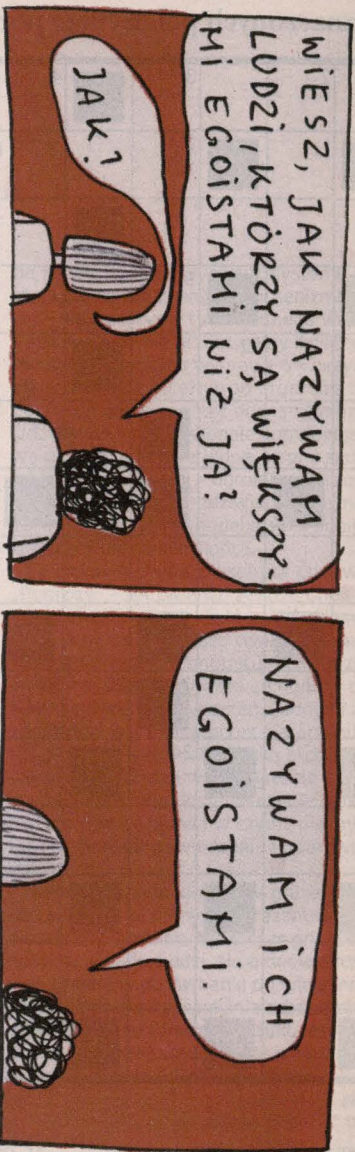
Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów albo usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY

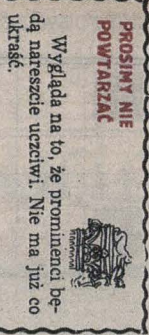


www.sukcesmagazyn.pl

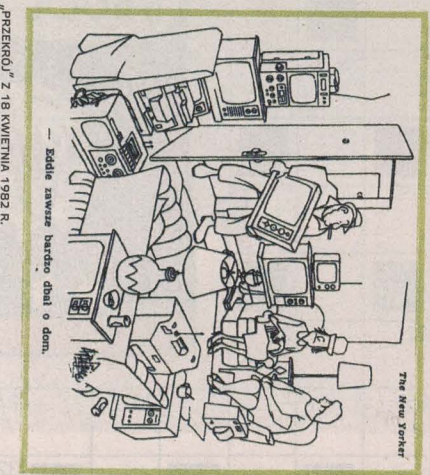
ZNOWU ROZMAIŁOŚĆ I RACZKOWSKI NA KONIEC



RETROSPEKCJA



"PRZEMÓD" z 25 KWIETNIA 1982 R.



"PRZEMÓD" z 18 KWIETNIA 1982 R.



StreetDance 2

czyli randka z pechem

Występują:

ONA & ON

Miejsce: ruchliwe

Czas: tuż po seansie

ONA (przymilnie):

Lubisz tańczyć?

ON (nieścierzej):

Oczywiście, kochanie!

ONA (prawdząc):

A potrafiysz?

ON (bezmilnie):

Pewnie, że tak! Spójrz!

(wbiega na ulicę i na-tychmiast wpada

wprost pod rozpędzoną

ciężarówkę)

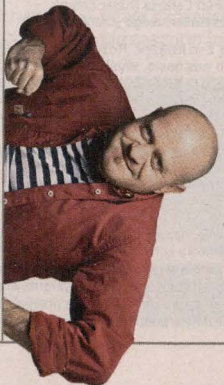
KURTNA zapada

ze świstem.

ROMAN KURKIEWICZ

Inny spis treści

Dobre te tematy, ale trzeba innych. Wszystko OK, ale całkiem nie tak. Jak nawet tak – to inaczej



LEWO MYŚLNI

obrze, że o zwierzętach, ale dlaczego tak bez przestrzeni na dialog, na porozumienie jedzących i niejedzących? Jedzących mięso. Wiem, że piszę, że nie chodzi o mięso, a nie zwierzęta, ale co ma powiedzieć ktoś, kto je mięso, a nie myśli, że je zwierzęta? Przecież on się źle czuje. Nie, nie po mięsie, tylko po tekście się źle czuje. Jak można tak niedelikatnie? Tak bez subtelności? Tak ideologicznie? Tak bez rozróżnienia? Bez pardonu. Za wprost. Za mocno. Nie można tego robić ludziom. Bo oni już nawet z przekory będą jeili, jak wy tak piszecie.

Dobrze, że w ogóle o tych prawach kobiet, ale dlaczego tak jednoznacznie? I z tymi końcówkami to szaleństwo. Mówili sam Bralczyk czy Miodek. Albo odwrotnie. Ministra. Sęda. To jest dopiero nadużycie! Kobieta odpowiednia da sobie radę, wspomaganie nie potrzebuje. A jak jest przeciwnie, to niech go zostawi. Czemu go nie zostawi? A poza tym kobiety też biją. Czytałam we „Fakcie” czy w „Superaku”, czy w „Rzeczpospolitej”.

I że o Kościele to dobrze, tylko dlaczego tak źle? A nie można dobrze? Czemu tylko krytycznie? Gdzie cała prawda? Gdzie wyposrodowanie? Gdzie rozważa, powaga, spoki, wyważenie racji. No, niektórzy molestowali, ale żeby taką ofertę robić? Tyle innych jest spraw. Misjonarze są. Też coś nie tak? No jak już nawet misjonarze się nie podobają, to ja już nie wiem.

I z tymi torturami nie bardzo wiadomo, o co chodzi. Przecież to dla naszego dobra, żeby dzieci niewinne ratować. Czasem trzeba dokonać tego, no, męskiego wyboru. Jaki milion Irakijczyków zginął? Niuansów trochę.

A o co chodzi z tą nienawścią do stadionów – nie rozumie nikt. Radość jest, był syf, jest duma, nowoczesność, szybko zrobili, Polska zagra, nawet jak przegra, to wszyscy zobaczą, że Polacy stadiony mają.

I bez tego lamentu ciągłe. Pozytywnie trzeba, wyposrodkować. A nie tak jednoznacznie. I ładnie, żeby było. Kobiety, księża, zwierzęta, stadiony, wojny. Dobrze, ale wszystko nie tak. A gdzie kultura? Kultury trzeba więcej.

For. Bogdankrezel.com

Lokata na 6 miesięcy A Ty ile zarabiasz w swoim banku?



6,5%

w skali roku
za nowe środki

Teraz Twoje oszczędności mogą rosnąć szybciej niż myślisz.

Dzięki nowej lokacie otrzymasz wyjątkowo wysokie oprocentowanie i gwarancję zysku, którą daje Ci duży bank. Sprawdź najnowszą lokatę w Kredyt Banku i zarabiaj więcej.

- aż **6,5%** w skali roku za nowe środki
- lokata na **6 miesięcy**
- już od **1 000 zł**
- **stałe oprocentowanie** przez cały okres lokaty

Zapraszamy do naszych Oddziałów i kontaktu z infolinią.

www.kredytbank.pl

☎ **801 360 360**

☎ **815 317 200**

opłata wg taryfy operatora

Oprocentowanie 6,5% w skali roku dotyczy nowych środków, zgodnie z regulaminem „Promocji za nowe środki”.
Stawka oprocentowania dla kwot od 1 000 zł na 1 kwietnia 2012 r.



**Kredyt
Bank**

Finanse z zasadami